

Leszek Nowak  
(Instytut Filozofii UAM)

## O UKRYTEJ JEDNOŚCI NAUK SPOŁECZNYCH I NAUK PRZYRODNICZYCH<sup>1</sup>

(1)

### Problem. Dyskusja pośpiesznego rozwiązania

**PROBLEM.** Oto jeden z najbardziej irytujących problemów naszych czasów: *Dlaczego metody nauk społecznych nie przynoszą w badaniu ludzkiego zachowania wyników porównywalnych z tymi, które uzyskuje fizyka czy chemia?* – pyta znany amerykański filozof J. Searle (1995, s. 64) stawiając na nowo diskutowany od stulecia problem, czy nauka o człowieku jest aby nauką w tym samym sensie słowa, w jakim naukami są dyscypliny przyrodnicze. Na pierwszy rzut oka narzuca się odpowiedź negatywna. Czyż podstawowym faktem ludzkim nie jest świadomość? Czyż świadomość nie jest czymś całkowicie osobliwym w zestawieniu z mechanistyczno-przyczynową przyrodą? Jedno zdarzenie fizyczne wywołuje inne, a i samo jest przez inne wywoływane. Żadne z nich jednak nie są przedstawieniami, obrazami czy reprezentacjami drugich, nie są więc o innych zdarzeniach tego rodzaju. Natomiast zaszłości mentalne – nasze przekonania czy przypuszczenia – są w stanie opisywać wszelkie inne zdarzenia (z samymi sobą włącznie). Czynią to prawdziwie lub fałszywie, ale w ogóle są zdolne pozostawać w relacjach semantycznych do świata, być o nim – pozostawać więc w stosunkach zupełnie nie do pojęcia w kategoriach przyrodniczych. Czyż nie jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że istota do tego zdolna wyłamuje się ze świata przyrody a nauka o niej musi być poznaniem *sui generis*, nie podlegającym zasadom badania martwego, a w każdym razie asemantycznego, świata rzeczy? A skoro tak, to czyż nie pociąga to, że do oceny stopnia zaawansowania humanistyki miary zaczerpnięte z przyrodoznawstwa na niewiele, jeśli nie zgoła na nic, się zdają? Czyż nie trzeba stosować tu jakichś innych, jej tylko właściwych, zasad ocennych? Tak rozumuje wielu filozofów nauki, w tym też cytowany autor utrzymujący, iż *nauki społeczne zajmują się różnymi aspektami intencjonalności* i że źródłem ich osobliwości jest *fakt ich zależność od tego, co umysłowe* (tamże, s. 74-75).

---

<sup>1</sup> Nauka, 1/1998, ss. 11-42

### NIEISTOTNOŚĆ ONTOLOGII DZIEDZINY DLA TEORII TEJ DZIEDZINY.

Przytoczony wyżej wywód opiera się na dwóch przesłankach. Jedna jest zapewne prawdziwa: o ontycznej osobliwości zjawisk świadomościowych. Drugą jest założenie, iż fakt ten ma podstawowy sens metodologiczny, że tedy osobliwa ontologia danej dziedziny wymusza osobliwą metodologię tworzenia – i waloryzacji – teorii tej dziedziny. To drugie założenie – choć zdaje się oczywiste – wydaje się wysoce wątpliwe.

Zjawiska psychiczne zadziwiają swoją tajemniczością. Ale nie one jedne przecież. Tajemniczych dla filozofa zjawisk nie brak wszak na terenie eksplorowanym przez nauki najbardziej ściśle. Czym są liczby naturalne? Nasuwająca się mocą oczywistości odpowiedź: naszymi przedstawieniami myślowymi – nie ostaje się przecież zupełnie elementarnej krytyce. Bo gdyby nimi były, trwałyby w czasie, i także fakty na nich zachodzące musiałyby mieć wymiar czasowy. A przecież jawnym absurdem jest powiedzenie, że  $nm = mn$  o godzinie takiej a takiej (bo w tym właśnie czasie matematyk – i który? – ma fakt ten na myśli). Ratować tę rzekomą oczywistość trzeba odsyłając do pojęcia typu przedstawień psychicznych, a więc ich klasy. Utrzymywać by więc od biedy można, iż liczby są klasami pewnych przedstawień psychicznych a fakty matematyczne klasami naszych sądów ustalających jakieś związki między przedstawieniami. Kłopot jednak w tym, że – jak wiadomo – klasy są same obiektami matematycznymi a najbardziej naturalną ich interpretacją jest pojmowanie ich jako obiektów idealnych istniejących poza czasem, przestrzenią, a zatem i poza naszymi umysłami. Czyż nie lepiej więc od razu pojmować w taki sposób wszelkie obiekty matematyczne, z liczbami włącznie, skoro rzekoma redukcja ich do sfery psyche (a tak samo do sfery znaków) i tak doprowadza do nie chcianych bytów idealnych? Ale dopuszczenie idei jako pełnoprawnych i niezależnych od nas istnień prowadzi przecież do niesłychanej rewizji naszych materialistycznych uprzedzeń, do złamania naszej codziennej ontologii u samych jej podstaw. I to zanim w ogóle pojawia się pojęcie rzeczy fizycznej, nie mówiąc już o rzeczach ożywionych, a wśród nich – świadomych.

Już więc ontologia elementarnej matematyki prowadzi do zagadek zgoła zadziwiających. A przecież – i to jest punkt, do którego zmierzam – ta ontologiczna zagadka arytmetyki liczb naturalnych, zagadka postawiona jeszcze przez Platona i do dziś nie rozwiązana, ma się nijak do arytmetycznej problematyki w związku z nimi powstającej. Najpierw dowodzone izolowanych twierdzeń o liczbach naturalnych, potem dedukcyjnie systematyzowano je w teorie, w końcu formalnie aksjomatyzowano i ściśle zdefiniowano pojęcie liczby naturalnej w terminach klas (mnożności) – nie wiedząc stale, a trwało to tysiąclecia, czym ontologicznie liczby naturalne są. Widać osobliwości ontologiczne liczb naturalnych i niejasność co do ich ontycznego statusu w niczym nie przeszkadza gromadzeniu ściślej wiedzy na ich temat.

Chwila namysłu wystarcza, by uprzytomnić sobie, że jest to regułą ogólną. Teorie fizyczne mówią o obiektach fizykalnych i dostarczają sporej i wiarygodnej wiedzy na ten temat – podczas kiedy natura rzeczy fizycznej jest z filozoficznego punktu widzenia wysoce niejasna, a nawet fakt ich istnienia, o czym łatwo się przekonać wnikając w problematykę tzw. kategorii ontologicznych, jest czymś zagadkowym (por. LITERATURA). Nie trzeba argumentować, iż to samo dotyczy czasu, przestrzeni, przyczynowości, i tak dalej. Wszędzie mamy do czynienia z ontologicznymi zagadkami, rozstrzyganie których, okazuje się, jest nieistotne dla gromadzenia pozytywnej wiedzy na temat dziedzin, których dotyczą. Rozwój nauk ścisłych dowodzi, iż można wiedzieć wiele, i ściśle właśnie, nie rozumiejąc do czego wiedza ta się odnosi. Ten paradoksalny fakt naukoznawczy trzeba – jak to z faktami – po prostu przyjąć do wiadomości.

Pozostawiając wyjaśnienie tego faktu na stronie (por. LITERATURA) odnotujmy wszakże, że wynika z powyższego, iż bez filozofii możliwa jest też nauka o człowieku. I rzeczywiście. Dziedziną nauk o człowieku, która odnosi niekwestionowalne sukcesy poznawcze – przejawiające się i w zdolności do budowy teorii wyjaśniających, niekiedy za pomocą całkiem już wyrafinowanej matematyki, i w umiejętności dosyć precyzyjnego pomiaru ilościowego, wszystko to zaś profituje już w efektywnym często doradztwie w praktyce gospodarowania – jest ekonomia teoretyczna. A przecież najbardziej nawet abstrakcyjne modele ekonomiczne są o istotach świadomych, obdarzonych wolną wolą, znakotwórczych. Lecz te ontyczne osobliwości człowieka wcale w budowie owych modeli nie przeszkadzają. Cóż stąd, że człowiek ma wolną wolę, skoro postawiony wobec alternatywy *mieć więcej pieniędzy/mieć mniej pieniędzy* z nużącą jednostajnością dokonuje – jak gospodarka towarowo-pięniężna szeroka a mechanizm rynkowy stary – oczywistego wyboru. Który to fakt ekonomista modeluje w postaci zasady maksymalizacji dochodu statystycznie znakomicie się przecież potwierdzającej. Jasne, że nie musi się ona sprawdzać, bo człowiek naprawdę ma wolną wolę i może przecież zachcieć mieć mniej. Rzecz w tym, że na ogół tak zachcieć nie chce i, z pominięciem statystycznych marginaliów, z własnej i nieprzymuszonej woli zachowuje się tak, jak gdyby rezygnował z jej wykorzystywania. Cóż stąd – dalej – że sama kategoria *pieniądz* wprost odnosi się do pewnego rodzaju znaków, przedmiotów, jak to filozofowie świetnie wiedzą, o ontyce niezwykle zgoła zagadkowej, skoro dla ekonomistów zagadkowości te nie mają większego znaczenia. Dzięki temu sporo o tym, czego chcą się dowiedzieć, już o pieniądzu się dowiedzieli. A dzięki ich wiedzy rządy potrafią dziś np. tłumić hiperinflacje i jakoś kontrolować procesy inflacyjne. Widać dla wszystkich tych kwestii ontyka bytu *pieniądz* waży niewiele więcej niż ontyka bytu *liczba* dla matematyki.

Rzeczywiście, supozycja, iż o osobliwości nauk o człowieku ma przesądzać ontologia bytu ludzkiego jest po prostu fałszem. Na szczęście, inaczej bowiem nauka musiałaby czekać, aż my, filozofowie, uporamy się ze swoimi problemami. Ale skoro tak, to nie jest prawdą, iż to zawłości ontyczne bytu ludzkiego odpowiedzialne są za *jeden z najbardziej irytujących problemów naszych czasów*, by odwołać się do cytowanej na wstępie frazy Searle'a i problem ten – pytanie, czym wyjaśnić zapóźnienie nauk społecznych – staje przed nami w pełnej okazałości.

## (2)

### Nauki społeczne a metoda nauk przyrodniczych

**ZAŁOŻENIA PROBLEMU ZAPÓŹNIENIA NAUK SPOŁECZNYCH.** Problem ten stawia się zazwyczaj mając na uwadze pewien metodologiczny obraz nauk przyrodniczych. Oto punktem wyjścia badań przyrodniczych ma być obserwacja faktów i poszukiwanie w nich *regularności i powtarzalności zjawisk*, które ujmowane są w prawa przyrody; *prawa te są uogólnieniami wyprowadzonymi z obserwacji sposobu istnienia zjawisk*. Wyjaśnianie zaś znanych i przewidywanie nowych zjawisk *polega na pokazaniu, jak istnienie danego zjawiska wynika z określonych praw naukowych*. Tak powiada J. Searle (1995, s. 64-65) – i nie jest w tym bynajmniej odosobniony –, po czym bez trudu pokazuje, iż humanistyka traktująca o istotach świadomych, racjonalnych i obdarzonych wolną wolą pod taki to wzorzec przyrodoznawstwa nie podpada. Istoty te bowiem interpretują wzajemnie swe poczynania przypisując sobie określone cele. Osobliwością roboty właściwej badaniu świata ludzkiego jest interpretacja; przyrodę wyjaśniamy, kulturę rozumiemy, powtarza za Wilhelmem Dilthey'em. Procedura zaś interpretacji dalece wykracza poza obserwację a jej reguły nie są bynajmniej uogólnieniami empirycznymi.

To wszystko prawda: humanistyka nie podpada pod empirystyczny wzorzec nauki rejestrującej fakty, uogólniającej je w prawa i wyprowadzającej z uogólnień tych fakty nowe. Tyle, że prawda ta niewiele daje dla wyjaśnienia źródeł zapóźnienia humanistyki. Albowiem pod wzorzec

ten nie podpada także fizyka. Empirystyczny obraz przyrodoznawstwa, z którym częstokroć zestawia się humanistykę, jest fałszywy.

**IDEALIZACJA W BADANIU ŚWIATA PRZYRODY.** Wystarczy przyjrzeć się jakimkolwiek bez mała prawu fizyki, by dostrzec, iż nie jest ono generalizacją faktów empirycznych. Prawa te zawsze wyposażone są w zastrzeżenia, iż zachodzą dla punktów materialnych, układów inercyjnych, ciał doskonale czarnych, gazów doskonałych, itd. Obserwujemy zaś twory realne, a więc obiekty niepunktowe, układy nieinercyjne, gazy niedoskonałe itd. – i obserwacje te jako żywo nie mogą być uogólniane na byty idealne. Searle tak oto ilustruje pojęcie przyrodniczego uogólnienia: jeśli, *na przykład, przedstawimy twierdzenia dotyczące odpowiednich praw opisujących spadanie ciał i znamy początkowe położenie jakiegoś ciała, możemy rzeczywiście wydedukować, co się stanie dalej* (tamże, s. 64). Kłopot w tym, że prawo swobodnego spadku nie mogło być empirycznym uogólnieniem z powodu jasnego już dla jego twórcy, który ustalił je dla warunków doskonałej próżni rozumiejąc, że opór powietrza *przeszkadza wszystkim ruchom w sposób nieskończenie rozmaity, stosownie do nieskończenie różnych zmian kształtów ciężarów i prędkości ciał... Trzeba [go] więc abstrahować, aby móc naukowo traktować ten przedmiot* (Galileusz 1930, s. 181-182). Stosownie do tego, jego prawo swobodnego spadku ma postać okresu warunkowego:

(G) jeżeli ciało spada w kierunku ziemi przy zerowym oporze powietrza, a przy tym jego prędkość początkowa równa jest zeru, zaś przyspieszenie ziemskie  $g$  jest stałe, to droga  $s$  spadku tego ciała wynosi  $1/2gt^2$  ( $t$  – czas spadku)

opartego na warunkach, które są świadomym zaprzeczeniem empirycznym faktom (**założenia idealizujące**). Tego rodzaju zdanie (**twierdzenie idealizacyjne**) nie może być z powodów czysto logicznych zastosowane do realnych ciał spadających, może natomiast posłużyć do wyprowadzenia (w drodze **konkretyzacji**) bardziej realistycznych formuł uwzględniających jakieś z pominiętych czynników. Usuwając np. założenie postulujące, iż prędkość początkowa ciała równa jest zeru konkretyzuje Galileusz prawo spadku swobodnego (G), jak następuje:

(cG) jeżeli ciało spada w kierunku ziemi przy zerowym oporze powietrza, a przy tym jego prędkość początkowa  $v_0$  jest większa od zera, zaś  $g = \text{const}$ , to  $s = v_0 t + 1/2gt^2$ .

I to twierdzenie, choć bliższe już rzeczywistości niż najbardziej abstrakcyjne **prawo idealizacyjne** (G) nie mogłoby być zastosowane do empirycznych faktów bez popadnięcia w sprzeczność – stale przecież zakłada ono warunki próżni doskonałej, stale jest więc twierdzeniem o charakterze idealizacyjnym. Jedyne dla warunków – np. eksperymentalnych – w których opór powietrza jest „zaniedbywalnie mały”, a więc w których czynnik ten powoduje odstępstwa tolerowalne dla określonego celu można twierdzenie to **aproksymować** uzyskując twierdzenie pozbawione warunków idealizujących (a więc **twierdzenie faktywne**):

(aG) jeżeli ciało spada w kierunku ziemi przy nieznacznym oporze powietrza, a przy tym  $v_0 > 0$ , zaś  $g = \text{const}$ , to  $s \approx v_0 t + 1/2gt^2$ .

Warunki idealizujące prawa spadku swobodnego samemu Galileuszowi były znane częściowo mylnie (sądził jeszcze, że przyspieszenie ziemskie jest naprawdę stałe) a ponadto jeno po części (już w świetle mechaniki klasycznej liczba idealizujących warunków spadku swobodnego rośnie przynajmniej do jedenastu). Tym niemniej zasada stosowalności praw fizyki do rzeczywistości empirycznej przedstawia się już w tym wypadku zupełnie jasno: nie uogólnianie, lecz idealizowanie faktów empirycznych jest jej zasadą.

Liczne prace analizujące rozmaite dziedziny i aspekty pracy badawczej w przyrodoznawstwie (por. LITERATURA) świadczą o tym samym: że istotą metody naukowej, jaką stosuje się w przyrodoznawstwie jest świadoma deformacja zjawisk świata empirycznego, zmierzająca następnie do rekonstrukcji tych zjawisk wychodzącej z wyjściowego uproszczenia.

Konstrukcja teorii polega na budowie podstawowego, czyli najbardziej uproszczonego modelu, który obejmuje grupę wzajemnie w szczególny sposób powiązanych praw idealizacyjnych ujawniając w czystej postaci to, co uznaje się w danym czasie za system podstawowych związków w obserwowanych zjawiskach. Następnie założenia te są kolejno odrzucane a wyjściowy model zostaje poszerzany (konkretyzowany), tak aby ujmował on coraz więcej z bogactwa zjawisk i dawał coraz lepsze przybliżenie do zarejestrowanych faktów. Seria takich coraz bardziej skonkretyzowanych modeli wychodzących od modelu podstawowego to **teoria idealizacyjna**. Zostaje ona zaakceptowana, jeśli wyjaśnia wiele znanych faktów badanej dziedziny z dostatecznym przybliżeniem.

Zazwyczaj jest tak, iż panująca teoria idealizacyjna nie radzi sobie z wyjaśnianiem wszystkich znanych faktów. Wówczas jest ona korygowana. Napotykać na fakt przeczący nawet najbardziej skonkretyzowanemu modelowi teorii badacze identyfikują przyczynę odstępstwa, którą jest jakiś czynnik w teorii dotąd nie uwzględniony. Czynnik ten trzeba więc dodatkowo pominąć w drodze przyjęcia kolejnego założenia idealizującego – dopiero pod tym warunkiem utrzymać można tezy modelu wyjściowego teorii, model ten staje się więc jeszcze bardziej wyidealizowany. Czynnik ten należy także wprowadzić do teorii to znaczy trzeba odrzucić owo nowodołączone do niej założenie i skonkretyzować twierdzenia modelu uwzględniając sposób działania tego czynnika. W rezultacie uzyskuje się nową, bardziej adekwatną wersję wyjściowej teorii; mówi się o niej, że **koresponduje** z wersją początkową. Normalna, codzienna działalność teoretyczna w naukach przyrodniczych polega zasadniczo na budowie teorii korespondujących z teorią wyjściową. Ponieważ jedna teoria może korespondować z wyjściową ze względu na jedno nowododane założenie idealizujące, a inna ze względu na inne i ponieważ budowa takich teorii nakłada się na siebie (buduje się nowe teorie korespondujące z teoriami, które korespondują z wyjściową), więc działalność tę można przedstawić sobie jako konstrukcję drzewa teorii, którego korzeniem jest teoria wyjściowa. Drzewo to nazywamy sięgając do terminu Kuhna **paradygmatem**. Relacja korespondencji wobec danej teorii nie wyprowadza poza paradygmat zainicjowany przez tę teorię.

Relacja (dialektycznej) refutacji przekracza natomiast granice paradygmatu. Oto wszystkie teorie składające paradygmat oparty na danej teorii idealizacyjnej przyjmują jej istotnościowe widzenie danej dziedziny. Przyjmują one za główne (niepomijalne) w danej dziedzinie zjawisk te czynniki, które do modelu podstawowego wprowadziła już teoria inicjująca paradygmat, same jedynie uzupełniają coraz bardziej repertuar czynników ubocznych (pomijalnych). Otóż zasadniczo nowa teoria refutująca paradygmat dotychczasowy wyznosi do rangi głównych czynniki uprzednio nieznanne; w tym sensie odrzuca ona dotychczasowe widzenie „istoty” badanych zjawisk. A jednocześnie, w pewnej mierze kontynuuje ona dawny paradygmat. Skoro bowiem posiadał on pewna moc wyjaśniającą, to teoria ta uwzględnia m.in. wprowadzone przezeń czynniki wśród swoich zmiennych objaśniających. Kiedy taka teoria **dialektycznie refutująca** dawny paradygmat zostaje zaakceptowana, wówczas znowu okazuje się, iż daleko jej do dostatecznie ścisłego wyjaśnienia wszystkich znanych faktów, wobec czego musi podlegać korektom i w ten sposób powstaje nowe drzewo teorii z nią korespondujących, czyli nowy paradygmat.

**WZORZEC NAUK PRZYRODNICZYCH.** Pokazywano, że nie tylko fizyka klasyczna, ale i współczesna podpada pod taki mniej więcej obraz, że dotyczy to także innych nauk przyrodniczych, w tym tak podstawowych, jak teoria ewolucji czy genetyka (por. LITERATURA). Wolno więc utrzymywać, iż metodę nauk przyrodniczych daje się w najważniejszych bodaj punktach przedstawić następująco:

(IDEALIZACJA) Przyjmuje się kontrfaktycznie idealizujące założenia pomijające, jako mniej istotny, wpływ pewnych czynników na daną wielkość. Ujmuje się w prostą formułę wpływ, jaki wywierają pozostałe czynniki, o wpływie podstawowym, na tę wielkość. Formuła ta ma moc

obowiązującą pod tymi tylko warunkami, i to pod wszystkimi z nich. Idealizacja polega więc na sformułowaniu idealizacyjnego okresu warunkowego, w którego poprzedniku mieści się pełna lista przyjętych założeń idealizujących a w następniku formuła określająca, jak czynniki uważane za podstawowe wpływają na wielkość określaną.

(KONKRETYZACJA) Prawo idealizacyjne jest konkretyzowane przez uchylanie kolejnych założeń idealizujących i modyfikację jego formuły poprzez uwzględnianie wpływu na wielkość określaną kolejno wprowadzanych czynników dodatkowych. Uzyskuje się w ten sposób coraz bliższe danym obserwacyjnym twierdzenia idealizacyjne o coraz bardziej skomplikowanych formułach. W najprostszym wypadku jest to prosty ciąg złożony z prawa idealizacyjnego i jego konkretyzacji (struktura idealizacyjna).

(APROKSYMACJA) Zwykle jednak konkretyzacja kontynuowana jest tylko tak długo, dopóki nie uwzględni się tylu poprawek, które pozwalają na osiągnięcie przybliżenia do zarejestrowanych danych wystarczającego w danej dziedzinie nauki. Znaczy to, że gdyby usunąć na raz wszystkie obowiązujące jeszcze w ostatniej konkretyzacji warunki idealizujące, wówczas rozbieżność pomiędzy wynikami teoretycznymi wyprowadzonymi z formuły tej konkretyzacji a danymi empirycznymi nie przekraczałaby progu dopuszczalnych w tej dziedzinie odchyień.

(SPRAWDZANIE) Prawo idealizacyjne jest sprawdzane poprzez konkretyzację i aproksymację. W razie jeśli aproksymacja ostatniej konkretyzacji w strukturze idealizacyjnej zostaje uznana za fałszywą (odstępstwa wyników teoretycznych od danych empirycznych przekraczają przyjęty próg tolerancji), struktura idealizacyjna nie zostaje odrzucona, lecz podlega usprawnianiu poprzez kontynuowanie konkretyzacji. Jest ona odrzucona dopiero wówczas, kiedy okazuje się, że żadna z możliwych w tej strukturze konkretyzacji nie jest w stanie zredukować stwierdzonych rozbieżności z doświadczeniem.

(KORESPONDENCJA) Może się więc zdarzyć, że dana struktura idealizacyjna  $t$  jest odrzucona wskutek zbyt wielkich rozbieżności z danymi empirycznymi. Nie znaczy to jednak, iż poniechane jest inicjujące ją prawo idealizacyjne o danej formule. Tę się właśnie zachowuje identyfikując dodatkowe czynniki wywierające wpływ na wielkość w formule określaną. Buduje się w ten sposób nową strukturę idealizacyjną  $t'$ . Otwiera ją prawo idealizacyjne o tej samej formule, ale poprzedzone dodatkowymi założeniami idealizującymi, które pomijają nowoodkryte czynniki. Kiedy w wyniku konkretyzacji nowa struktura  $t'$  okazuje się wyjaśniać rozbieżności odpowiedzialne za odrzucenie struktury  $t$ , wówczas  $t'$  zostaje przyjęta.

(DIALEKTYCZNA REFUTACJA) Kiedy jednak ani struktura  $t'$ , ani żadna inna ze struktur  $t''$ ,  $t'''$ ,... korespondujących dialektycznie z  $t$  nie wyjaśnia rozbieżności z danymi empirycznymi, wówczas zakwestionowana zostaje formuła wyjściowego prawa idealizacyjnego; czynniki w niej uwzględnione nie są już dalej traktowane jako niepomijalne dla wielkości określanej. Proponowane są nowe czynniki w tej roli i budowana jest struktura idealizacyjna  $s$  z prawem idealizacyjnym o odmiennej formule. Kiedy w wyniku konkretyzacji i aproksymacji okazuje się, że wyjaśnia ona dane empiryczne, z którymi nie mogła sobie poradzić żadna z rodziny struktur idealizacyjnych inicjowanych przez  $t$ , wówczas  $s$  zostaje przyjęta. Warunkiem akceptacji jest wszakże to, by stara formuła wystąpiła jako składowa jakiejś z konkretyzacji nowej formuły. Po czym okazuje się, że nowa struktura nie wyjaśnia pewnych rozbieżności z innymi danymi empirycznymi i inicjuje w ten sposób rodzinę struktur z nią korespondujących  $s'$ ,  $s''$ ,... .

Jeśli pominąć liczne skądinąd kwestie bardziej specjalne dyskutowane w filozofii nauki, to można, przy pewnych dodatkowych założeniach (dyskusyjnych skądinąd – por. LITERATURA) uznać, iż powyższe przedstawia w zgrubnym przybliżeniu wzorzec nauk przyrodniczych. W każdym zaś razie hipoteza taka pozwala zrozumieć liczne dodatkowe strony rzeczywistej praktyki badawczej – rolę eksperymentów, zwykłych i myślowych, naturę procedury korygowania danych empirycznych w oparciu o teorię instrumentu pomiarowego, itd. itp. (por. LITERATURA). W

sumie, można przyjąć, iż naszkicowany hipotetyczny model w miarę dobrze odpowiada praktyce badawczej nauk przyrodniczych. A w takim razie pytanie o metodologiczną charakterystykę nauk społecznych brzmi: jak się mają one do tego to wzorca?

**IDEALIZACJA W BADANIU ŚWIATA LUDZKIEGO: CASUS TEORII REPRODUKCJI.** Aby uzyskać odpowiedź sięgnąć trzeba do praktyki badawczej nauk społecznych. Wspomnieliśmy już o modelach ekonomii teoretycznej. Zobaczmy więc teraz, jak postępuje ekonomista. Klasycznego przykładu modelowania w ekonomii dostarcza K. Marksa teoria reprodukcji. Gospodarka rozpatrywana w tej teorii obejmuje dwa działy: produkcji środków produkcji (dział 1) i produkcji środków spożycia (dział 2). Produkcja  $P_1$  działu 1 równa jest sumie kapitału stałego  $C_1$  zaangażowanego w tym dziale, zaangażowanego tam kapitału zmiennego (siły roboczej)  $V_1$  i wytwarzanego tam produktu dodatkowego  $M_1$ ; analogiczny sens mają te same symbole z indeksem działu 2.

Rozważania nad globalnym procesem reprodukcji rozpoczyna autor od reprodukcji prostej, a więc takiej, w której środki przeznaczane na wzrost produkcji (fundusz akumulacji) są zerowe: *Reprodukcja prosta w skali nie zmienionej jest o tyle abstrakcją, że ... nie sposób przypuszczać, aby w warunkach kapitalizmu mogło się obejść bez wszelkiej akumulacji, czyli reprodukcji w skali rozszerzonej* (Marks 1955, t. II, s. 416). Inne uproszczenia dotyczą stosunków wartości: ... *zakładamy tu nie tylko, że produkty wymienia się według ich wartości, lecz również, że nie następują rewolucyjne zmiany w wartości składowych kapitału produkcyjnego* (Marks 1955, t. II, s. 414). Te ostatnie bowiem, jeśli tylko ... *nie są powszechne i nie oddziałują równomiernie, to ... stanowią one zakłócenia, które można zrozumieć jedynie wtedy, kiedy je rozpatrujemy jako odchylenia* (podkr. oryg. – LN) *od nie zmienionych stosunków wartości* (tamże, s. 415). Dalej, społeczeństwo rozpatrywane jest dwuklasowe: *W myśl naszego założenia – powszechne i wyłączne panowanie produkcji kapitalistycznej – poza kapitalistami nie ma w ogóle innej klasy oprócz klasy robotniczej* (Marks 1955, t. II, s. 365). Nie ma w omawianym tu, teoretycznym modelu, bo w świecie realnym takich klas i warstw jest, jak to pokazują historyczne opracowania tego samego autora (por. LITERATURA) całe *multum*. Wreszcie, rozpatrywane społeczeństwo jest izolowane od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych, co pociąga m.in. brak wymiany handlowej z innymi gospodarkami. I tak dalej.

Poprzestając na powyższym wyliczeniu, otrzymujemy następującą listę założeń upraszczających, które konstytuują model reprodukcji prostej:

- a) rozważane społeczeństwo kapitalistyczne nie akumuluje (akumulacja  $A = 0$ ),
- b) towary wymienia się w tym społeczeństwie wedle wartości,
- c) wartość tych towarów jest stała,
- d) jest ono złożone z dwóch tylko klas, właścicieli środków produkcji i bezpośrednich wytwórców,
- e) jest ono nadto całkowicie izolowane od wszystkich innych społeczeństw.

Ponieważ sam Marks rozbudowując swą teorię ograniczył się tylko do poniechania warunku (a), przedstawimy jego model reprodukcji prostej w pewnym uproszczeniu:

$$(M1) \text{ jeśli } A = 0, \text{ to } P_1 = C_1 + V_1 + M_1$$

$$(M2) \text{ jeśli } A = 0, \text{ to } P_2 = C_2 + V_2 + M_2.$$

Ze schematów tych wyprowadza warunek równowagi dla modelu reprodukcji prostej, okazuje się, mianowicie, że rozpatrywana uproszczona gospodarka jest w równowadze, o ile kapitał stały w dziale produkcji środków spożycia równy jest sumie kapitału zmiennego i wartości dodatkowej z działu produkcji środków produkcji:  $C_2 = V_1 + M_1$ .

W części 21 tomu II *Kapitału* Marks odrzuca warunek idealizujący (a) i rozważa gospodarkę co prawda nadal spełniającą wygórowane założenia idealizujące (b) – (e), ale akumulującą. Fundusz akumulacji przeznaczają się na wzrost środków produkcji ( $M^c$ ) i na zatrudnienie nowej siły roboczej ( $M^v$ ). Tak więc w obecnym, bardziej realistycznym modelu reprodukcji rozszerzonej:  $A = M^c + M^v > 0$ . Schematy (M1-2) są odpowiednio korygowane:

$$(cM1) \text{ jeśli } A > 0, \text{ to } P_1 = C_1 + V_1 + M_1 + M_1^c + M_1^v$$

$$(cM2) \text{ jeśli } A > 0, \text{ to } P_2 = C_2 + V_2 + M_2 + M_2^c + M_2^v$$

Dla tego nieco bardziej realistycznego modelu warunek równowagi przybiera, jak wykazuje autor, postać:  $C_2 + M_2^c = V_1 + M_1 + M_1^v$ .

Stale wszakże była to teoria daleka od złożoności empirycznych gospodarek. Nic więc dziwnego, iż wielu autorów wynajdywało dodatkowe powody, dla których schematy (cM1-2) odbiegały od rzeczywistości. Jednym z nich była milcząco założona przez Marksa, a mało naturalna, supozycja, iż wszystkie działy gospodarki dają się zinterpretować jako wytwarzanie środków bądź produkcji bądź konsumpcji. Gdzie tu pomieścić np. zbrojenia? Zagadnienie to postawił japoński teoretyk Nonomura pokazując, iż z ekonomicznego punktu widzenia jedynie sensownym jest potraktowanie produkcji broni jako odrębnego, trzeciego działu gospodarki. Produkcja tego sektora jest kupowana przez państwo za podatki, które pojmuje jako część produktu dodatkowego. Tego wszakże podmiotu, państwa, brak w modelach Marksowskich – nie ma go ani w modelu reprodukcji prostej, ani w modelu reprodukcji rozszerzonej. Marksowska lista uproszczeń (a)-(e) jest tedy za uboga i trzeba ją wzbogacić o warunek idealizujący:

f) podatki  $T$  pobierane w danej gospodarce równe są zeru.

I dopiero przy warunkach (a)-(f) wolno wprowadzić schematy reprodukcji prostej znane z *Kapitału*. Tezy Marksa (M1-2) należy więc przeformułować dla reprodukcji prostej pozbawionej zbrojeń:

$$(N1) \text{ jeśli } A = 0 \ \& \ T = 0, \text{ to } P_1 = C_1 + V_1 + M_1$$

$$(N2) \text{ jeśli } A = 0 \ \& \ T = 0, \text{ to } P_2 = C_2 + V_2 + M_2$$

Modyfikacja tych schematów polega na pominięciu nowowprowadzonego założenia (e):  $T > 0$  i odpowiednim skorygowaniu samych formuł reprodukcji prostej. Część wielkości  $T$ , przyjmuje Nonomura, jest dostarczana do działu pierwszego a część przeznaczana na płace i, w efekcie, wydawana na środki konsumpcji, a więc w dziale drugim. Stąd:

$$(cN1) \text{ jeśli } A = 0 \ \& \ T > 0, \text{ to } P_1 = C_1 + V_1 + M_1 + T_1$$

$$(cN2) \text{ jeśli } A = 0 \ \& \ T > 0, \text{ to } P_1 = C_1 + V_1 + M_1 + T_2.$$

A oto formuła dla działu trzeciego:

$$(N3) \text{ jeśli } A = 0 \ \& \ T > 0, \text{ to } P_3 = C_3 + V_3 + M_3 + T_3.$$

W następnym kroku Nonomura powtarza Marksowską konkretyzację otrzymując schematy reprodukcji rozszerzonej uwzględniające zbrojenia:

$$(ccN1) \text{ jeśli } A > 0 \ \& \ T > 0, \text{ to } P_1 = C_1 + V_1 + M_1 + M_1^c + M_1^v + T_1$$

$$(ccN2) \text{ jeśli } A > 0 \ \& \ T > 0, \text{ to } P_2 = C_2 + V_2 + M_2 + M_2^c + M_2^v + T_2$$

$$(cN3) \text{ jeśli } A > 0 \ \& \ T > 0, \text{ to } P_3 = C_3 + V_3 + M_3 + M_3^c + M_3^v + T_3$$

Odpowiednio też ustala nieco bardziej złożone warunki równowagi dla powyższych modeli.

Poprawki Nonomury miały, jak widać, nader prosty charakter, dlatego one właśnie posłużyły jako ilustracja roboty teoretycznej w ekonomii. Schematy reprodukcji były zaś korygowane w opisany sposób po wielokroć. Model Langego uwzględniający alokację akumulacji w działach innych niż ten, w którym została wytworzona, a więc przepływ akumulacji między działami gospodarki, model Kawakamiego uwzględniający poza produkcją sektor usług, model Sweezego/Langego dezagregujący dział produkcji środków konsumpcji, model Nagelsa dla gospodarki otwartej itd. – to kolejne teorie stojące do Marksowskiej teorią reprodukcji w tym samym związku metodologicznym, jak teoria Nonomury. I zupełnie to samo dzieje się w obrębie



innych orientacji w ekonomii teoretycznej. Po dalsze ilustracje z metodologii ekonomii odeślę już jednak do LITERATURY, tu natomiast ograniczę się do oczywistego wniosku.

Oto jasną jest teraz rzeczą, iż metoda konstrukcji schematów reprodukcji jest dokładnie niemal metodą fizyki: tak samo zapomina o złożonościach świata tego i ucieka w światy wyidealizowane dla uchwycenia prostych zależności; tak samo też zależności te potem komplikuje przybliżając się krok po kroku do faktów empirycznych. Ekonomia mająca, pamiętamy, do czynienia z istotami świadomymi, wolnymi, znakotwórczymi stosuje mimo to po prostu wzorzec nauk przyrodniczych. Rozważmy jeszcze dla pewności – już raczej pobieżnie, bardziej wyczerpującą argumentację przedstawia LITERATURA – czy jest ona jakimś wyjątkiem wśród nauk społecznych, czy też stosowanie metody idealizacji w humanistyce to rzecz typowa.

**IDEALIZACJA W BADANIU ŚWIATA LUDZKIEGO: PRZEGLĄD.** Poza ekonomią, inną dziedziną nauk o człowieku, która święci wielkie tryumfy poznawcze w ostatnich dekadach jest językoznawstwo, w którym dokonał się za sprawą Noama Chomsky’ego prawdziwy przewrót teoretyczny. I oto teoria lingwistyczna tego autora jest całkiem świadomie realizowana jako teoria idealizacyjna: *W normalnych warunkach mówienie ulega wielu, nieraz gwałtownym zniekształceniom, które same przez się nic nie mówią o leżących u jego podstaw schematach językowych* (Chomsky 1966, s. 37). Stąd to *[t]eoria lingwistyczna dotyczy przede wszystkim idealnego mówcy-odbiorcy w całkowicie jednorodnej wspólnotie językowej, znającego swój język idealnie i na którego – w momencie, gdy wykorzystuje swą wiedzę o języku i dokonuje aktualnych czynności językowych – nie oddziałują takie nieistotne gramatycznie okoliczności, jak ograniczenia pamięci, roztargnienie, przesunięcia uwagi czy zainteresowań, błędy (przypadkowe lub charakterystyczne) etc.* (Chomsky 1965, s. 3).

Sama teoria Chomsky’ego jest rekonstrukcją kompetencji językowej owego idealnego mówcy-odbiorcy. Składa się ona z trzech modeli. Pierwszy, model gramatyki struktury składnikowej, postuluje idealizująco, że ów mówca-odbiorca konstruuje zdania swego języka wyłącznie na sposób „oddolny”, jako zdania molekularne złożone z prostszych składowych oraz pomija proces przydawania owym konstruktom syntaktycznym formy fonetycznej. Przy tych założeniach na kompetencję językową mówcy-odbiorcy składają się reguły generatywne przyporządkowujące każdemu zdaniu jego znacznik strukturalny określający elementy, z jakich zdanie jest zbudowane, ich organizację i porządek. Daje się w ten sposób wygenerować wiele typowych zdań języka naturalnego, nie wszystkie jednak. Trzeba więc usunąć założenie oddolnej konstrukcji zdań i wziąć pod uwagę zjawisko transformacji pewnych zdań w inne, co czyni model drugi teorii, prezentujący pełniejszy zespół reguł kompetencji lingwistycznej, reguły gramatyki generatywno-transformacyjnej. Ani jednak gramatyka struktury składnikowej ani transformacyjna nie objaśnia, jak z języka strukturalnego tworzy się język mówiony. To zadanie trzeciego, jeszcze bliższego rzeczywistości językowej modelu teorii lingwistycznej, modelu gramatyki fonologicznej przyporządkowującej konstruktom gramatyki generatywno-transformacyjnej kształt fonetyczny.

Już z tego pobieżnego opisu widoczne jest, że nie tylko zamysł autora, ale i struktura metodologiczna teorii Chomsky’ego spełnia typowe wymogi roboty idealizacyjno-konkretyzacyjnej respektowane w teoretycznym przyrodoznawstwie. Humanista i w tym wypadku postępuje jak przyrodoznawca. I nie tylko w tym. Pamiętamy, że najtypowszą procedurą poznawczą humanisty tradycyjnie przeciwstawianą robocie przyrodnika jest praca interpretacyjna prowadząca do odtworzenia intencji autora dzieła, np. tekstu. Podstawowym, i osobliwym, typem twierdzeń humanisty mają však być twierdzenia oparte na rozumieniu znaków. Przyjrzyjmy się naturze tej pracy na przykładzie działalności myślowej prawnika. Znowu pobieżnie, zaś po dokładniejsze rekonstrukcje odesłać z konieczności trzeba do LITERATURY.

Interpretacja prawnicza polega na odtwarzaniu z tekstu prawnego jednoznacznych norm, a więc wypowiedzi kształtu: osoby o własnościach  $W$  obowiązane są w okolicznościach  $O$  do realizacji (*resp.* zaniechania realizacji) stanu rzeczy  $p$  (Ziembiński 1967). Jest to więc operacja rekonstrukcji z tekstu prawnego  $t$  norm  $n_1, \dots, n_m, \dots$ . Rzecz w tym, iż przeprowadzając tę operację przyjmuje się określone założenia o autorze tekstu  $t$ , w których bez trudu rozpoznajemy założenia idealizujące. I tak przyjmuje się, że tekst prawny nie zawiera sprzeczności; wobec czego interpretacja, która by zrekonstruowała z tekstu  $t$  normę nakazującą osobom  $W$  okolicznościach  $O$  realizację stanu  $p$  a zarazem poniechanie realizacji tego stanu (czyli – zakazującą tym samym osobom w tym samych okolicznościach realizację  $p$ ) jest niedopuszczalna. Przyjmuje się, iż tekst prawny jest logicznie konsekwentny, skoro więc generuje normę  $n$ , to generuje każdą logiczną konsekwencję tej normy. Przypisuje się też autorowi tekstu prawnego kompletną i najlepiej uzasadnioną wiedzę empiryczną, i tak dalej. Prawodawca widziany przez prawników jest więc logicznie niesprzeczny, doskonale konsekwentny, całkowicie kompetentny w każdej dziedzinie, którą zechce uregulować, itd. Kim jest taki prawodawca? Nie jest nim przecież parlament, który, jaki jest, każdy widzi, a już najlepiej wiedzą to fachowcy-prawnicy. „Prawodawca” pojmowany jako autor tekstu prawnego jest pewnym konstruktym idealizacyjnym, który ma się do rzeczywistych parlamentów tak, jak punkt materialny do rzeczywistych ciał. Tak zwana logika prawnicza (tradycyjne zasady *lex posterior derogat priori*, *lex specialis derogat generalis*, itd.) zakładana w toku interpretacyjnej pracy prawnika jest zaś złożoną, wielomodelową konstrukcją idealizacyjną podobną do teorii fizycznych czy ekonomicznych. Pierwotne reguły tej logiki są analogonami podstawowych praw idealizacyjnych a kolejne uwzględniają coraz więcej okoliczności, od których zależy kierunek wykładni, a więc urealistyczniają wygórowane podstawowe postulaty doskonałości prawodawcy, są więc czymś w rodzaju konkretyzacji owych wyjściowych reguł. Nie ma jednak wśród najbardziej nawet rozbudowanych reguł logiki prawniczej takich, które by usuwały supozycję jego racjonalności (maksymalizacji przyjętych preferencji). W toku wykładni prawa wymogu racjonalności prawodawcy nie usuwa się nigdy – sprowadzanie prawa do poziomu racjonalności właściwego niektórym realnym parlamentarzystom groziłoby skutkami katastrofalnymi.

**IDEALIZACJA JAKO UNIWERSALNA METODA POZNANIA.** Widać z tego pobieżnego przeglądu metod stosowanych w różnych dziedzinach nauki, że zasadniczo – a więc z tolerancją na pewne osobliwości (w rodzaju np. prawniczego zakazu „konkretyzacji poniżej racjonalności prawodawcy”) – polegają one na realizacji tych samych wymogów metodologicznych: myślowego upraszczania przedmiotu badań; ustalania hipotetycznych związków w ramach uproszczonego systemu; stopniowego modyfikowania i komplikowania tych związków, tak by w przybliżeniu imitowały prawidłowości empiryczne. Znać wymogi te – abstrakcyjnej rekonstrukcji (nie zaś uogólniania obserwacji) świata rzeczywistego – są same związane z tak abstrakcyjnymi własnościami procedur poznawczych, że procedury te pozostają te same niezależnie od tego, czy stosowane są do cząstek elementarnych, populacji biologicznych, gospodarujących ludzi czy ludzi komunikujących się ze sobą.

Konkluzja drugiej części naszego wywodu brzmi zatem: jeśli zestawić nauki społeczne nie z tym, jak humaniści przedstawiają sobie przyrodoznawstwo, lecz z nim samym, to widać, iż nauki te stosują w zasadzie tę samą metodę poznawczą, z której wyrosły, i którą realizują, nauki przyrodnicze. Różnice, jakie tu zachodzą są różnicami celów, warunków i kontekstów stosowania tej samej w zasadzie metody, a w każdym razie różnice te nie dają się przyporządkować obu tym grupom nauk. Tak na przykład, ekonomia jest o wiele bliższa fizyce niż fizyka paleozoologii, zaś ta ostatnia bardziej przypomina historiografię niż ta ekonomię. Jeśliby założenia, na jakich wsparty

jest niniejszy wywód były rzeczywiście trafne, to pogląd o metodologicznym chińskim murze dzielącym nauki na przyrodnicze i społeczne byłby mitem.

Naturalną kolejną rzeczą nasuwałoby się teraz pytanie: jeśli naprawdę jest w naukach społecznych tak dobrze, to dlaczego jest tak źle, skąd więc sam problem zapóźnienia tych nauk? Zanim jednak do kwestii tej przejdziemy, trzeba poświęcić nieco miejsca na wyświetlenie pewnego nieporozumienia, niezbyt może głębokiego, ale dosyć dolegliwego dla nauki, a w każdym razie dla jej dobrego imienia.

### (3)

#### **Nauka a duchowość człowieka**

**PEWIEN STEREOTYP.** Wszystko to, o czym była do tej pory mowa dałoby się streścić w takiej oto hipotezie filozoficznej: poznanie czegoś, jakiegoś systemu, polega na idealizacji tego układu a następnie stopniowej jego rekonstrukcji w drodze konkretyzacji. I wygląda na to, że nie ma większego znaczenia, czy idzie o system przyrodniczy czy społeczny, rozpięty na nieświadomych rzeczach czy na świadomych ludziach. Czyż nie oznacza to jednak zignorowania osobliwości ludzkiej duchowości? Co ze szczególnością ludzkiego bytu?

U podstaw tej obawy zdaje się leżeć dosyć głęboko zakorzeniony (prze)sąd lokujący naukę poza sferą kultury duchowej. Sprawy ducha rozdzielone być mają między religię, filozofię, literaturę, malarstwo, itd., a nauka, cóż, to takie bardziej subtelne rzemiosło... Można zgoła odnieść wrażenie, iż niektórzy artyści czy kapłani zaczynają spoglądać na „płaską naukę” jak gdyby z góry. Wynika to zapewne po prostu z atmosfery kulturalnej naszych czasów sceptycznej, czy zgoła podejrzliwej, wobec nauki. Tyle, że sama ta atmosfera wsparta jest na empirystycznej filozofii nie rozumiejącej, jeśli nie jestem w błędzie, na czym robota naukowa właściwie polega. Postaram się, rzecz jasna, podać pewne argumenty za tym przypuszczeniem.

**NAUKA A LITERATURA.** Wedle upowszechnionego stereotypu – a powiedzieć trzeba, że ulegali mu nawet wielcy twórcy, nawet ci, co sami łamali rozliczne stereotypy jak Bolesław Leśmian czy Witold Gombrowicz – twórczość literacką dzieli nieprzebyta przepaść od roboty naukowej. Nauka ma być od obserwacji faktów i uogólniania ich na wykresy, a literatura jest sferą odświętną, jest rzeczą wyobraźni wyrażającej się w konstrukcji fikcyjnych światów. Taki obraz nauki nie ma jednak nic wspólnego z rzeczywistością. Widzieliśmy, że nauka konstruuje fikcyjne światy równie zapamiętałe, jak literatura. A choć Józef K. jest obiektem ontycznie zasadniczo odmiennym od Józefa Kowalskiego, to do punktu materialnego jest mu z tego samego punktu widzenia zdecydowanie bliżej. Widzieliśmy przecież: każda teoria naukowa, przyrodnicza czy społeczna, jest w swym podstawowym modelu o wyidealizowanym świecie i dopiero w dalszych, coraz bardziej realistycznych modelach odbywa drogę powrotną ku naszemu światu, by go zaproksymować. Tą tendencją powrotu od światów idealnych ku naszemu (metodą konkretyzacji) w istocie od literatury się różni. Ale punkt wyjścia jest nader podobny.

Takie samo jest też uzasadnienie „konstrukcji fikcyjnych światów” w obu dziedzinach – idzie o wydobywanie ukrytych, zamazanych w zawiłych splotach faktów empirycznych, istotnych składowych rzeczywistości. Obie, i nauka i literatura, zakonotowują w swoich „fikcjach” to, co istotne w rzeczywistości, o której traktują. *Tragiccy greccy, motając mordercze intrygi, nie zajmowali się przecież – pisze Andrzej Falkiewicz – psychologią zabójców, lecz orzekali o wszystkich ludziach – i są wielcy dlatego, że widz lub czytelnik podziela prawdę ich orzeczeń* (podkr. oryginału – L.N.). *Podobnie Dostojewski, pokazując bohaterów uczuciowo zdewiowanych, nie wypowiadał się na temat psychicznie chorych, lecz odślaniał pobudki działania zdrowych – pozostaje geniuszem literatury na tyle, na ile czytelnik odnajduje te pobudki we własnych*

*motywacjach* (Falkiewicz 1989, s. 22). Tyle, że pisarz na światach tych poprzestaje pozostawiając ich intuicyjne korygowanie doświadczeniu życiowemu czytelnika, i interpretacji krytyczno-literackiej, natomiast naukowiec ową wędrówkę od swoich „fikcji” ku naszemu światu odbywa systematycznie, systematycznie też konfrontuje wyprowadzone z teorii dane teoretyczne ze zgromadzonymi niezależnie, i wedle zestandaryzowanych sposobów, danymi empirycznymi. Jasne, że jest różnica: literatura nie jest wszak nauką. Ale nie jest też czymś dramatycznie od nauki odmiennym! Otóż tej to wspólnoty literackiego i naukowego podejścia do rzeczywistości często się po stronie społeczności literackiej nie rozumie. Podobnie, jak nie rozumieją jej scjentyści, jakich sporo wśród filozofów nauki, utożsamiający ją nie z modelowaniem świata, lecz z empirycznym oprzyrządowaniem modeli. I jedni i drudzy dostrzegają z nauki tylko końcówkę – nie rozumiejąc początku. O wiele ważniejszego i stanowiącego właśnie o daleko posuniętej wspólnocie nauki i literatury. Bo (logiczny) początek – to we wszelkim procesie myślowym rzecz absolutnie kluczowa. I owoż nauka i sztuka mają, jak zobaczymy, wysoce zbliżony początek.

**O STRUKTURZE WYOBRAŹNI.** I tak samo jest z innymi dziedzinami kultury duchowej. Dopóki wierzy się, że nauka nie wykracza poza obręb świata empirycznego, musi się ona jawić jako coś zasadniczo odmiennego od religii. Nie ma nic bardziej odmiennego od ciała empirycznego odciskającego swe ślady w naszych zmysłach niż Bóg. Ale jeśli się rozumie, że do istoty nauki należy konstrukcja bytów idealnych? Byt wszechwiedzący to taki  $X$ , że dla każdego  $p$ ,  $X$  sądzi, że  $p$  wtedy i tylko wtedy, kiedy  $p$  jest faktem; wie więc o wszelkich prawdach i wszystko, co wie to prawdy. Czyż to nie coś w rodzaju idealizacji? A zatem, czyż nie jest tak, że przy wszelkich odmiennościach bliżej układowi inercyjnemu, kosmosowi doskonale jednorodnemu, itd. do bytów mitycznych niż do empirycznych? Problematyka ta jest dopiero wstępnie eksplorowana, niemniej jest tak ważna, również światopoglądowo, że przyjrzyjmy jej się przez chwilę (szerzej por. LITERATURA).

Idealizacja jest jedną tylko z grupy procedur, które z braku lepszego miana nazywamy **deformacyjnymi**; polegają one na tym, by kontrfaktycznie – a więc wbrew temu, co o przedmiocie wiemy – przedmiot odkształcić, czyli zdeformować właśnie. Przyjrzyjmy się tym procedurom systematycznie. Niech dany będzie jakiś przedmiot, powiedzmy empiryczny,  $e$ , wyposażony, spośród zadanej przestrzeni (parami niezależnych) cech  $A, \dots, Z$  w pewną liczbę własności  $A, B, \dots, K$  i braki pozostałych:  $-L, -M, \dots, -Z$ ; niech każdą przy tym ma w jakimś określonym stopniu; załóżmy też, iż każda ma tak minimum, jak i maximum. Tyle, i z gruba, założeń.

**Potencjalizacja** polega teraz na kontrfaktycznym przypisaniu obiektowi  $e$  jakiejś z jego cech w stopniu różnym od tego, jaki wykazuje. Kiedy wartość przypisywana jest większa od wykazywanej, mówimy o **potencjalizacji dodatniej**, w przeciwnym wypadku o **ujemnej**. Kiedy wyobrażam sobie siebie za parę lat, wówczas ów siwiuteńki pan, jakiego „mam w wyobraźni” jest wynikiem dodatniej potencjalizacji, jakiej na sobie jeszcze szpakowatym dokonałem; jest on moim (dodatnim) potencjałem ze względu na uwłosienie. Potencjalizacja obiektu  $e$  względem własności  $A$ , dla którego  $A$  ma wartość  $a_i$ , polega więc na kontrfaktycznym postulowaniu obiektu  $e'$ , dla którego  $A$  przybiera inną miarę  $a_j$ . W granicznym przypadku potencjalizacji dodatniej, kiedy to postulujemy maksymalne uposażenie obiektu pod danym względem przeprowadzamy **mityzację**. Analogicznie, postulując minimalne uposażenie obiektu w daną własność dokonujemy **ideacji**, która jest granicznym przypadkiem potencjalizacji ujemnej. Potencjalizacja jest deformacją, by tak rzec, „ilościową” – zmienia się w stosunku do empirycznego oryginału jeno miary stosownej (stosownych) wielkości, zestaw natomiast własności i ich braków, jakie mu przysługują, a więc niejako jego uposażenie „jakościowe” pozostaje bez zmian. Potencjalizacja, w obu swych odmianach jest więc słabą deformacją.

**Redukcja** jest deformacją mocną – polega ona na myślowym zubażaniu obiektu o pewne własności, rzecz jasna kontrfaktycznie, a więc wbrew temu, co o tym przedmiocie wiadomo. W naszym schemacie redukcja ze względu na własność  $K$  polega na postulowaniu obiektu  $e'$ , któremu miast tej własności przysługiwać będzie jej brak. Redukt  $e'$  obiektu  $e$  ma więc, i to w tych samych miarach, wszystkie własności wykazywane przez empiryczny oryginał  $e$ , ale dodatkowo spełnia kontrfaktyczny warunek przypisujący brak  $-K$  w miejsce  $K$ .

Inną deformacją mocną jest **transcendentalizacja**, operacja odwrotna do redukcji. Polega na kontrfaktycznym wzbogacaniu obiektu o pewne własności: brak w uposażeniu oryginału zastępuje się odpowiednią własnością. Transcendensem obiektu  $e$  ze względu na  $L$  będzie więc obiekt  $e'$  wykazujący, i to w tych samych stopniach, własności posiadane przez empiryczny oryginał  $e$ , który dodatkowo ma daną własność w miejsce jej braku  $-L$  wykazywanego przez  $e$ .

Wszystko to są procedury nie poza-, lecz przeciw-empiryczne – nie odtwarzają one stanu świata empirycznego, lecz właśnie go zmieniają, a więc odkształcają uposażenie (miary tych samych własności czy same zgoła własności) obiektów empirycznych. I postulują pewne ich odpowiedniki zachowujące co najwyżej część uposażenia tych ostatnich. Granicznym wypadkiem reduktów obiektu empirycznego jest bowiem obiekt pusty, pozbawiony wszelkich własności (wyposażony jeno w ich braki), a granicznym jego transcendensem jest obiekt pełny, pozbawiony jakichkolwiek braków (wyposażony we wszystkie własności zadanej przestrzeni). Wyobraźnia ludzka nie tylko nie jest ograniczona do świata empirycznego, ale zgoła z konieczności go przekracza. Można by – cokolwiek w tym kontekście metaforycznie – rzec, iż z zasady buszuje ona po (różnego typu) zaświatach naszego świata.

**NAUKA JAKO WYRAZ DUCHOWOŚCI LUDZKIEJ.** I wyobraźnia naukowa nie jest tu żadnym wyjątkiem. Rzecz bowiem w tym, iż w terminach tych deformacyjnych procedur ująć można wszystkie wykwyty ducha ludzkiego, tak sztukę czy religię, jak i naukę. **Idealizację** wolno zidentyfikować jako połączenie redukcji i ujemnej potencjalizacji, w granicznym wypadku ideacji. Rzeczywiście, kiedy przyjmuje się, że ziemia jest punktem materialnym, to dokonuje się zarazem dwóch rzeczy: redukuje się wszystkie własności przysługujące naszej planecie z wyjątkiem mechanicznych, a i w obrębie tych pewne (np. wymiary) przyrównuje się do zera, a więc poddaje ideacji; obiekt, który w takiej analizie się rozważa („ziemia teoretyczna”) jest więc zarazem reduktem i granicznym potencjałem ujemnym planety, którą zasiedlamy. Idealizacja jest, mówiliśmy, typowa dla nauki.

Połączenie redukcji z potencjalizacją dodatnią, w granicznym wypadku mityzacją, to **fikcjonalizacja**. Procedura ta jest domeną sztuki. Postać literacka jest pozbawiona pewnych własności ludzi portretowanych („życie jest zbyt nudne, by je replikować w akcji literackiej” – powiadają pisarze), inne natomiast przejawia (poddaje potencjalizacji dodatniej). Postać przedstawiona w obrazie malarskim jest z definicji reduktem artystycznego modelu (pewnych jego cech nie sposób przedstawić wizualnie), a te, które są w niej reprezentowane są udobitnione w stosunku do cech empirycznie przezeń wykazywanych. Postać mimiczna jest również z definicji reduktem (nie posługuje się mową), za to te własności ludzkie, które reprezentuje, wykazują z taką mocą, z jaką się na codzień nie spotykamy. I tak dalej. Fikcje nie są obiektami idealnymi, ale są rzeczywiście czymś nader im bliskim, jak to wyżej sugerowano.

Wreszcie, **absolutyzacja** to połączenie transcendentalizacji i potencjalizacji dodatniej, w granicznym wypadku mityzacji. Istotnie, Bóg to absolut, a więc obiekt pełny (wykazujący wszystkie własności), i każdą w najwyższym stopniu: jest wszechwiedzący a przy tym wie wszystko z maksymalną pewnością, kocha całe stworzenie, i to „nieskończenie” (w sposób najwyższy z możliwych), i tak dalej. Religia tedy, czy ogólniej sfera mitu, to dziedzina absolutyzacji.

Widzimy tedy: duchowość człowieka wyraża się w jego wyobraźni, a więc zdolności do myślowego odkształcenia świata, w którym zlokalizowane jest nasze ciało. I zdolność tę nauka wykorzystuje tak samo, jak inne dziedziny kultury; a może zgoła bardziej – postaci literackie zachowują wszak mnóstwo własności ludzkich oryginałów, natomiast punktowi materialnemu brakuje do nicości (obiektu pustego) parę ledwo kroków myślowych. W każdym jednak razie główne dziedziny kultury duchowej: nauka, sztuka, religia są oparte na różnych kombinacjach pewnych prostych procedur deformacyjnych. Są to kombinacje różne, ale przecież tego samego, są więc pojęciowo współmierne a ontycznie jednorodne. O czym świadczy to z metafizycznego punktu widzenia – czy owe „światy deformacji” są li tylko naszym instrumentarium, czy też istnieją w jakimś, i jakim, sensie – pozostawmy tu na uboczu (por. LITERATURA). Co tu jedynie ważne, narzuca się z całą oczywistością: idealizująca świat empiryczny nauka jest równoprawną ze sztuką czy religią dziedziną duchowości ludzkiej. Cała kultura duchowa wyrasta z jednego wspólnego rdzenia – zdolności naszej wyobraźni do przekroczenia empirii. Jej dziedziny różnią się tym tylko, w jakim celu tę zdolność się wykorzystuje. Nauka wykorzystuje ją dla rekonstrukcji świata empirycznego.

Postawmy jeszcze kropkę nad „i”: oto wbrew atmosferze kulturalnej, która – miejmy nadzieję, przejściowo – zaczyna nas dławić, nie ma mowy o żadnych chińskich murach oddzielających naukę od sztuki i/lub religii. Nie ma też mowy o żadnych „górach” – po którejkolwiek ze stron. A niegdysiejsze góry po stronie nauki (wznoszone n.b. raczej przez filozofów scjentyistycznych niż przez naukę samą) są równie urojone, jak te dzisiejsze, po stronie sztuki czy religii.

#### (4)

### O społeczności naukowej

**PROBLEM ZAPÓŹNIENIA NAUK SPOŁECZNYCH.** Uchyliwszy, a mówiąc ostrożniej, podważywszy może nieco antynaukowe uprzedzenia, możemy wrócić teraz do naszego pytania. Skoro nauki społeczne stosują w zasadzie metodę nauk przyrodniczych, skoro te ostatnie potrafiły stosując ją osiągnąć tak spektakularne sukcesy poznawcze, to dlaczego nie potrafią tego nauki społeczne? Zaskoczenie znajdujące wyraz w tym pytaniu bierze się z założenia, iż badanie naukowe polega na przekształceniu pewnego materiału wyjściowego za pomocą określonych metod w wiedzę końcową. Rzecz jednak w tym, iż ów obraz działalności naukowej wzorowany jest na obrazie kowala przekuwającego żelastwo w podkowę. Od biedy można by ten obraz odnieść do poszczególnego badacza. Ale nie do nauki. Ta powstaje bowiem ze współpracy i rywalizacji jednostek, nie tyle więc w nich, co – by użyć frazy Gombrowicza – między nimi, w ramach więc społeczności naukowej.

**TYPY PRAC NAUKOWYCH.** Założenia naszkicowane w rozdziale (2) pozwalają odróżnić trzy odmienne typy prac naukowych. **Praca aplikacyjna** w stosunku do danej teorii polega na tym, iż wyprowadza z tej teorii odpowiedź na nowe, nie rozważane dotąd na jej gruncie pytanie w żadnym punkcie teorii tej nie kwestionując. **Praca korekcyjna** w stosunku do danej teorii polega natomiast na budowie nowej teorii korespondującej z daną; tu już kwestionuje się kompletność, czy poprawność, modeli pochodnych teorii; praca korekcyjna, choć wykracza poza zadaną teorię, pozostaje w ramach inicjowanego przez nią paradygmatu. Wreszcie **praca twórcza** w ścisłym sensie to praca wykraczająca poza zadany paradygmat, bo proponująca zasadniczo nową teorię, dialektycznie refutującą teorię zastaną.

Rzecz jasna, prace twórcze są bardziej oryginalne od korekcyjnych a te od aplikacyjnych. Równie jasną jest rzeczą, że jedna i ta sama osoba może pisać prace różnych rodzajów. Otóż typ

postawy badawczej daje się określić jako maksimum oryginalności, na osiągnięcie której badacz jest nastawiony. Postawę aplikacyjną (a) reprezentuje badacz, który zmierza jedynie do wyjaśnienia faktów w niczym nie kwestionującego zakładanej przez siebie teorii naukowej. Postawę korekcyjną (k) reprezentuje natomiast badacz, który dla ściślejszego wyjaśnienia danego zjawiska jest skłonny poszerzyć zakładaną przez siebie teorię, a więc zaproponować jej nowy wariant korespondujący z poprzednim. Wreszcie, postawę twórczą (t) reprezentuje ktoś, kto zmierza do tego, by zbudować teorię zasadniczo odmiennie wyjaśniającą fakty niż teoria obowiązująca.

**OSOBOWOŚCI BADAWCZE.** Osobowość badacza określona jest przez to, jakiego rodzaju postawy badawcze potrafi on w swej codziennej pracy przyjąć. Jeśli potrafi zająć jedną tylko postawę, reprezentuje osobowość najuboższą, jednoskładnikową. Najbogatsza – w ramach naszej konceptualizacji – osobowość poznawcza jest więc trójskładnikowa.

Osobowość pełna uczonego jest trójskładnikowa (a#k#t) – wyraża się ona w jego zdolności do przybierania wszystkich trzech postaw, zależnie od potrzeby. **Wielki twórca** to nie tylko ten, kto stworzył nową teorię ale i ktoś, kto pracuje nad wynajdywaniem dla niej jak najbardziej różnorodnych aplikacji, a także bezustannie ją koryguje. Newton nie tylko podał prawa ruchu, ale i potrafił na ich podstawie istotnie zmodyfikować Galileusza prawo spadku swobodnego czy prawa Keplera ruchu planet, potrafił też zastosować prawo grawitacji do wyjaśnienia zjawiska przyptyków morza. Darwin był nie tylko autorem przełomowej teorii, ale i teorię tę ustawicznie poprawiał, był też autorem licznych prac aplikacyjnych, m.in. obszernego dzieła *Zapyłanie orchidei*.

To łączenie pracy twórczej z aplikacyjną i korekcyjną jest – przy założeniu przedstawionego modelu nauki – zrozumiałe i pożądane zarazem. Aby teorię (dialektycznie) odrzucić, trzeba znać zarówno jej dobre, jak i złe strony. Z pierwszymi zapoznać się można aplikując ją do najrozmaitszych zagadnień, a także skutecznie ją korygując. Z drugimi zapoznujemy się najlepiej w wyniku nieudanych prób jej skorygowania. Wówczas to bowiem ujawniają się fakty, które są trwałymi anomaliami zastanej teorii, których zatem nie sposób wyjaśnić na gruncie przyjętego przez nią widzenia istoty badanych zjawisk. Wtedy dopiero potrzeba nowego paradygmatu staje się czymś więcej niż łaknieniem oryginalności autorskiej – staje się ona potrzebą nauki. Ten, kto na to zapotrzebowanie nauki ma odpowiedzieć musi być nastawiony na wykonanie pracy twórczej, ale zarazem musi mieć umiejętności, które osiąść można tylko wtedy, kiedy umie się samemu wykonywać i prace aplikacyjne i korekcyjne. Stąd to, nawiasem mówiąc, optymalna epistemicznie linia rozwoju uczonego biegnie od postawy aplikacyjnej, poprzez korekcyjną, do postawy twórczej, przy czym każda z tych postaw zostaje na trwałe przyswojona i może być, w zależności od potrzeby, zawsze użyta.

Pozostałe typy osobowości twórczej to osobowości cząstkowe: dwu i jednoskładnikowe. **Twórca** typu (a#t) zdolny jest zbudować nową teorię i wynajdywać jej zastosowania, a twórca typu (k#t) potrafi zdobyć się na zbudowanie nowej teorii i jej ciągle modyfikacje, natomiast niezdolny jest do zajęcia się jej codziennymi zastosowaniami. Wreszcie twórcza osobowość jednoskładnikowa (t) to ktoś, kto bezustannie podejmuje próby stworzenia coraz to nowych teorii nie dbając o ich zastosowania czy modyfikacje, a więc, by tak rzec, o ich infrastrukturę poznawczą. Twórca tego rodzaju za wszelką cenę zmierza do oryginalnych idei nie dbając o postęp w ścisłości wyjaśniania faktów za ich pomocą. W dziejach nauki sporo jest przykładów autorów, którzy zabłysnęli jednym odkryciem, wkrótce poniechanym, bo resztę życia spędzili nad bezowocnymi próbami następnymi. O pewnej liczbie twórców omawianego rodzaju historia w ogóle milczy, bo ich autorom nie udało się przebić ze swym odkryciem choćby raz.

Na przeciwnym krańcu do osobowości twórczych znajdujemy **osobowość aplikacyjną**. Oto ktoś wdrożony do pracy aplikacyjnej na gruncie danej teorii przyjmuje tę postawę na trwałe, staje

się więc niezdolny do korygowania swej teorii, a tym mniej do twórczego jej przewyciężenia, potrafi jedynie wynajdywać dla swej teorii coraz to nowe zastosowania; osobowość aplikatora jest z zasady jednoskładnikowa. Postawa to mająca swe miejsce w nauce i nie należy żadną miarą mylić ją z dogmatyzmem. **Dogmatyk** z zasady niezdolny jest do dopuszczenia do świadomości, iż akceptowana przezeń teoria może być fałszem – w razie znalezienia jakiegokolwiek faktu przeczącego teorii, miast postawić problem korekty, reinterpreteruje fakt, by uzgodnić go z teorią. Osobowość **korektora** z zasady wyklucza dogmatyzm. Praca korekcyjna nad daną teorią polega na nieustannym wydobywaniu faktów jej przeczących i odpowiedniej modyfikacji samej teorii. Z reguły osobowość korektora jest dwuskładnikowa: łączy postawę korekcyjną z aplikacyjną (a#k); korektor czysty (k) zajmuje się wyłącznie modyfikowaniem zastanej teorii. W obu jednak wypadkach korektor nie wychodzi poza granice założonego paradygmatu.

Oto więc typy osobowości badawczych:

twórcy: (a#k#t), (k#t), (a#t), (t);

korektorzy: (a#k), (k);

aplikatorzy: (a).

**KONIECZNOŚĆ SZKÓŁ NAUKOWYCH.** Nie wnikając w przyczyny, konstatujemy fakt: rzadko zdarzają się w nauce osobowości twórcze, a jeszcze rzadziej pełne osobowości twórcze. Zdarza to się tak rzadko, że nauka nie może czekać, aż połączenie szczęśliwego trafu i właściwego procesu kształcenia doprowadzi do wyłonienia się optymalnych osobowości badawczych. Nauka radzi sobie tedy ze złożonymi zadaniami poznawczymi obejmującymi nie tylko konstrukcję nowej teorii, ale i jej aplikacje i modyfikacje, a więc budowę paradygmatów w ten sposób, iż powołuje instytucję **szkoły naukowej**. Jej założycielem jest twórca, ale nie pełny – tacy pracują zwykle samotnie (Newton, Darwin, Marks) – lecz pod jakimś względem wybrakowany. Zasadą działania szkoły jest natomiast dopełnienie tych braków tak, by zespół jako całość pracował jak twórca pełny. Stąd struktura szkoły – „ojciec-założyciel”, elita korektorów, szare szeregi aplikatorów.

Nawet tedy, gdyby zadania poznawcze stawiane przez naukę były w zasadzie do objęcia przez poszczególnego człowieka, szkoły byłyby w nauce i tak konieczne (przy dość oczywistym założeniu, iż podaż osobowości pełnych jest zawsze mniejsza niż zapotrzebowanie na nie). A ponieważ od dawna już jest tak, iż nikt nie jest w stanie samodzielnie zbudować paradygmatu – samodzielnie można zbudować co najwyżej teorię go inicjującą – przeto rola założyciela paradygmatu obejmuje też z konieczności inspirowanie i prowadzenie prac aplikacyjnych i korekcyjnych. Są to wszakże jedynie wzmocnienia powodu zasadniczego, dla którego konieczne są w nauce szkoły badawcze. Powodem tym jest fakt, iż zbiorowy, czy też społeczny, charakter przedsięwzięcia zwanego uprawianiem nauki leży w naturze ludzi ją uprawiających, a raczej w jej brakach.

Otóż kluczowym dla rozwoju danej nauki zagadnieniem jest typ stosunków pomiędzy badaczami, a szczególnie między różnymi szkołami ją uprawiającymi. Nauka zmierza do prawdy, ale tę doścignąć jesteśmy w stanie jeno w wysiłku zbiorowym. Rozpatrzmy, jakimi stosunki te muszą być, jeśli nauka ma osiągać postęp.

**POSTĘP POZNAWCZY I JEGO WARUNKI.** Sprawa to dyskusyjna i w filozofii nauki namiętnie dyskutowana, dla naszych celów wystarczy jednak przyjąć następujące proste intuicje kryjące się za pojęciem postępu naukowego. Podstawową miarą postępu osiągniętego przez daną teorię niechaj będzie jej **moc eksplanacyjna** (udział faktów wyjaśnionych w obrębie faktów, o wyjaśnienie których dotąd w danej dziedzinie pytano) lub/i **dokładność** tego **wyjaśnienia** (określona przez różnicę między wartością teoretyczną wielkości wyjaśnianej a wartością



empirycznie ustaloną). Przy zbliżonym poziomie dokładności oferowanym przez konkurencyjne teorie, ta zapewnia wyższy postęp, która ma wyższą moc eksplanacyjną. A przy zbliżonej mocy eksplanacyjnej porównywanych teorii ta stoi wyżej pod tym względem, która oferuje większą dokładność proponowanych wyjaśnień.

Zauważmy, że jeśli  $t'$  jest konkretyzacją  $t$ , to  $t'$  aproksymacyjnie wyjaśnia liczniejszy obszar faktów niż ten, który aproksymacyjnie tłumaczy  $t'$ ; te ostatnie wszak to tylko przypadki klasyczne (gdzie wpływy zmiennych pominiętych w pierwotnej idealizacji są znikome), konkretyzacja w przybliżeniu wyjaśnia nie tylko przypadki klasyczne, ale i normalne. Łatwo też dostrzec, że fakty wspólnie aproksymacyjnie wyjaśnione przez  $t$  i  $t'$ , są wyjaśnione dokładniej przez  $t'$ . W obu przypadkach zastrzec jednak należy, że konkretyzuje się ze względu na czynnik *de facto* wpływający na wielkość w twierdzeniach tych określaną. W takim zaś razie – przy analogicznym zastrzeżeniu – warunkiem postępu poznawczego w ramach paradygmatu jest to, by kolejna teoria korespondowała w omawianym sensie z poprzedniczką. I podobny byłby warunek postępu przy przejściu międzyparadygmatycznym: teoria dialektycznie refutująca poprzedniczkę z odmiennego paradygmatu musiałaby okazać się wyższą mocą eksplanacyjną, a po dalszej rozbudowie paradygmatu wyjaśniać te same fakty przynajmniej tak samo dokładnie, jak – w najdoskonalszym swym wariacie – paradygmat odrzucony. Rewolucja naukowa, która doprowadza do straty uzyskanego przez wcześniejszy paradygmat obszaru i/lub precyzji wyjaśnień byłaby wejściem w ślepią uliczkę.

Aby te epistemiczne warunki były spełnione, uprawiający naukę i ich zespoły (szkoły naukowe) muszą zachowywać się wobec siebie wzajemnie w sposób odpowiedni. Najpierw, i przede wszystkim, konieczne jest by naukę uprawiali bądź twórcy pełni, bądź osobowości niższej rangi, ale za to stanowiące kompletne zespoły badawcze: twórca i zainspirowani jego sposobem idealizacji zjawiska korektorzy i aplikatorzy.

Stosowanie idealizacji zakłada nie tylko wyobraźnię – umiejętność przedstawienia sobie świata innego, nieraz zupełnie innego, niż pospolity nasz jego obraz – ale i respekt dla tej umiejętności, ktokolwiek ją posiada. Leży bowiem we wspólnym interesie społeczności naukowej, by było w obiegu jak najwięcej alternatywnych sposobów idealizacji danej dziedziny. Nigdy nie wiadomo przecież z góry, który z nich znajdzie zastosowanie i do jakich zagadnień. A jeśli nawet literalnego zastosowania nie znajdzie, to i tak może znaleźć je *per analogiam*, a jeśli już raz analogia zostanie ustalona, to możliwe, iż przyda się kiedyś komuś do ustalenia analogii między analogiami. Każde odkrycie nowego, byle wewnątrznie spójnego, sposobu idealizowania danej dziedziny trwa i profituje w odkrycia następne. Kto to rozumie, cieszyć się będzie z odkryć (także cudzych) dla nich samych. Stąd

DEZYDERAT IDEALIZACJI: należy deformować rzeczywistość empiryczną w jej modele teoretyczne na sposoby możliwie różnolite,  
tak jednak, aby

DEZYDERAT KONKRETYZACJI: każdy z tych modeli dawał się stopniowo przybliżać do świata empirycznego poprzez uwzględnianie coraz większego bogactwa jego faktycznych determinant.

Roszczenie konkretyzacji zakłada z kolei bezustanne zestawianie wyidealizowanych konstruktów o światach prostszych niż nasz z empirycznymi faktami naszego świata. Zakłada więc krytycyzm badacza – zdolność do powiedzenia „nie” każdemu pogładowi, który nie spełnia wymogów spójności lub zgodności z doświadczeniem. I znowu leży w ogólnym interesie społeczności poznającej, by słabość jakiegokolwiek poglądu nie została przemilczana, lecz właśnie ujawniona. Ten to dezyderat zakłada Poppera

DEZYDERAT KRYTYCYZMU: wszelkie teorie naukowe winny być zestawiane z pełnym obszarem znanych faktów empirycznych, a wszelkie ich niezgodności z tymi faktami winny być ujawniane.

Aby ujawnienie empirycznych słabości koncepcji naukowej było możliwe, zarówno ona sama, jak i krytycy winni spełniać pewne warunki. Warunkiem elementarnym nałożonym na wszelką koncepcję naukową jest Twardowskiego

DEZYDERAT JASNOŚCI: mętne sformułowania są w nauce niedopuszczalne, w każdą winna być natomiast włożona pewna praca umożliwiając jednoznaczne i precyzyjne wyłuszczenie jej sensu.

To zrozumiałe: koncepcje niejasne nie mogłyby zostać poddane krytyce a ich moc eksplanacyjna (predykcyjna), nie mówiąc o dokładności, nie mogłaby zostać ustalona. Aby uchwycić sens jakiejś koncepcji potrzebna jest jednak, ze strony krytyków nie tylko kompetencja, ale i zwyczajnie dobra wola. Stąd dopełnieniem zasady Twardowskiego jest Ajdukiewicza/Davidsona

DEZYDERAT ŻYCZLIWOŚCI INTERPRETACYJNEJ: a jeśli mimo rzetelnych wysiłków ujaśnienia koncepcja pozostaje wieloznaczna, należy wziąć ją w takiej interpretacji, przy której wykazuje ona najwyższą moc eksplanacyjną (predykcyjną).

Postulat krytycyzmu zakłada też dezyderaty respektowane w społecznościach naukowych od niepamiętnych czasów i tak oczywiste, że trudno wiązać je z czymkolwiek nazwiskiem:

DEZYDERAT EGALITARYZMU W NAUCE: każdy, kto wykazuje się odpowiednimi kompetencjami – bez względu na rasę, poglądy polityczne, płeć itd. – jest uprawniony do podejmowania krytyki naukowej i proponowania pozytywnych rozwiązań wysuwanych w nauce problemów;

DEZYDERAT WOLNOŚCI NAUKOWEJ: każdy problem może być w nauce postawiony, a każda hipoteza czy koncepcja wysunięta, jeśli tylko nie rodzi niespójności i o ile jest rozstrzygalna za pomocą respektowanych w społeczności naukowej metod.

Stan wolności naukowej prowadzi wszak do wielości szkół myślowych w nauce. Stąd Hume'a/Feyerabenda

DEZYDERAT TOLERANCJI: wszystkie szkoły naukowe mają prawo do wiary w swój paradygmat; albowiem wszystkie konkurujące paradygmaty mają jakąś moc eksplanacyjną i wszystkie mają też jakieś trudności (znane są jakieś fakty im przeczące); żaden nie może więc z całą pewnością pretendować do miana prawdy; a ponieważ ich pozycja eksplanacyjna ulega zmianom w wyniku ich rozwijania, więc każda szkoła winna mieć swą szansę.

Roszczenie usprawniania przyjętego paradygmatu metodą korespondencji wymaga z kolei szacunku dla tradycji naukowej, dla wcześniejszych prób wyjaśnienia faktów. Nowa teoria musi przede wszystkim poradzić sobie z tymi faktami, które wyjaśniła dawna – inaczej nie jest w ogóle rozpatrywana jako kandydatka do prawdy. Albowiem żadna teoria nie jest tak zła, by zignorować fakty, które ona już wyjaśniła, żadna też nie jest tak dobra, by nie można było faktów tych wyjaśnić dokładniej. Stąd respekt dla tradycji i wymóg, by cały potencjał poznawczy w tej tradycji zawarty został wykorzystany wyrażany przez Bohra

DEZYDERAT KORESPONDENCJI: każdą teorię należy doskonalić budując nową teorię tłumaczącą to wszystko, co wyjaśniła dawna, a zarazem przybliżającą jej wyidealizowane konstrukcje jeszcze bliżej rzeczywistości.

Omówione wyżej reguły mają swych adresatów w społeczności naukowej. Postulat krytycyzmu adresowany jest do aplikatorów, postulat korespondencji – do korektorów. Do twórców (*sensu stricto*) odniesiony jest

DEZYDERAT DIALEKTYCZNEJ REFUTACJI: zawsze należy próbować na nowo zdeformować zjawiska wyjaśniane poddając je zasadniczo nowej próbie idealizacji; próba jest

udana, o ile zakres wyjaśnień (prognoz) ulegnie wydatnemu poszerzeniu, a płodna, o ile w drodze korespondencji uda się uzyskać ten poziom dokładności wyjaśnień (prognoz), jaki wykazywał najlepszy z alternatywnych paradygmatów.

Powstaje pytanie, kto te dezyderaty ma realizować. Rzecz jasna, wyznawcy stosownych poglądów: zwolennicy wysuwanych koncepcji czy, odpowiednio, ich krytycy. Ale nie tylko oni. Nauka jest sprawą zbyt poważną, by pozostawić ją w gestii tych, co wierzą na „tak” i tych, co wierzą na „nie”. Najpierw, jest mnóstwo poglądów, co do których nie może być w danym czasie jakichkolwiek racjonalnych przesądzeń za czy przeciw. Aby rozstrzygnięcie stało się więc możliwym, konieczna jest pewna praca teoretyczna wykonywana instrumentalnie. Nadto, każdy paradygmat powoduje zaślepienie i rutynę, których łatwiej uniknąć osobie neutralnej, stąd łatwiej jej nie raz wykonać standardową robotę poznawczą niż wyznawcy czy krytykowi. Stąd to, utrzymuje Kuipersa

**DEZYDERAT WSPÓŁMYŚLENIA:** wyznawca każdej szkoły naukowej winien w miarę możliwości wspomagać rozbudowę konkurencyjnych paradygmatów, bez względu na swe przekonania w tej mierze; zwolennik innego paradygmatu nie wysuwa założeń paradygmatu w swoim imieniu, lecz okresy warunkowe: jeśli prawdą są założenia paradygmatu, to prawdą są takie a takie ich konsekwencje (konkretyzacje, itd.).

Naturalną skłonnością człowieka jest pójście za głosem siły, także uczeni skłonni bywają do popierania alternatywy, za którą opowiadać się wielu. Stąd Feyerabenda

**DEZYDERAT POMOCY NAJSŁABSZEJ ALTERNATYWIE:** należy wspomagać rozbudowę paradygmatów, które są najmniej popularne; wzrost ich pozycji wyjaśniającej jest bowiem szczególnie trudny do uzyskania i grozi ostateczną zaturacją ich szans – jeśli je rzeczywiście mają.

**ETYCZNY WYMIAR METODY NAUKOWEJ.** Nietrudno dostrzec etyczny wymiar tych dezyderatów. Kto ma wątpliwości, niech zestawia np. dezyderat Ajdukiewicza/Davidsona z historią doktrynalnych sporów religijnych, albo w dzisiejszymi sporami ideologicznymi, obfitujących w oskarżenia oparte akurat o jak najgorsze wykładnie poglądów przeciwników. Albo Feyerabenda dezyderat wspomagania najsłabszych z gorączkowo zgoła przestrzegana, i nie tylko w totalitaryzmie, zasadą polityczną „nie przyłączać się do [frakcji] przegranych”. Lub też Twardowskiego postulat jasności z bełkotem politycznym, jakiego zbyt często doświadczamy. I tak dalej. Wystarczy tego rodzaju praktyki zestawzić z postępowaniem poznawczym w naukach dojrzałych, by dostrzec, że u nas sprawy mają się zasadniczo inaczej. Nierzadką w nauce, zwłaszcza w naukach ścisłych, jest wszak praca na rzecz innych – okazująca np. niesprzeczność cudzych, a nieraz zgoła obcych sobie, teorii; czy wyprowadzanie z cudzych założeń, choćby się samemu założeń tych nie podzielało, pożądanych i ciekawych konsekwencje, których sam autor nie dostrzegł; i tak dalej. Doprawdy, nie mamy powodu do kompleksów i może to raczej inni powinni z postępowania społeczności naukowej uczyć się zwyczajnej uczciwości.

Nie chcę bynajmniej sugerować, iż w społeczności naukowej zawsze się tak postępuje, ani tym mniej, że postępuje się tak z wrodzonej nam szlachetności. Tym niemniej postępowanie wedle tych – czy tego rodzaju – standardów jest w izolowanej (to ważne, jak się za chwilę okaże, zastrzeżenie) nauce idealnym wzorcem regulującym w niemałej mierze praktykę codziennego postępowania. Respektuje się zaś te standardy z tego po prostu powodu, iż odstępstwa od nich są przez społeczność naukową karane. Karą jest utrata pozycji w tej społeczności, a w granicznym wypadku marginalizacja czy zgoła usunięcie. Podobnie na wolnym rynku – sklepikarzowi nie kalkuluje się oszukiwać, bo klienci pójdą do konkurencji; w rezultacie na rynku pozostają tylko uczciwi lub tacy, którzy uczciwości się nauczą. Rynek naukowy wymusza rzetelność, krytycyzm, jasność, itd. – dlatego też jego uczestnicy do tych wymogów chcą nie chcąc na ogół się

dostosowują. Nie dlatego społeczność naukowa postępuje uczciwie, iż składający ją ludzie są cnotliwi. Na odwrót: społeczność ta jako całość wymusza uczciwość swych członków, a ludzie chcący uprawiać ten zawód muszą zżądaniu temu sprostać. Tak jest, jeśli społeczność naukowa jest izolowana od reszty świata ludzkiego. A jeśli nie?

(5)

**O najważniejszej przyczynie zapóźnienia nauk społecznych**

**BLOKADA NORMALNEGO ROZWOJU POZNAWCZEGO.** Jeśli społeczność naukowa nie jest izolowana, to respektowane normalnie – to znaczy, przy założeniu o izolacji – reguły metodologiczne bywają pod zewnętrzną presją naruszane. Przyjrzyjmy się temu na przykładzie już omówionym w rozdziale (2). Warunkiem postępu naukowego jest, jak pamiętamy, by (zasadniczo) nowa teoria inicjowała ciąg korespondujących z nią wariantów (paradygmat), a potem została odrzucona na rzecz kolejnej (zasadniczo) nowej teorii (nowego paradygmatu), w taki wszakże sposób, by uwzględnić wyniki poprzedniego paradygmatu wśród własnych modeli pochodnych (refutacja dialektyczna). W powołanym tedy przykładzie oczekiwać należałoby, iż po pewnej ilości udoskonaleń (koncepcji korespondujących z wyjściową) Marksa teoria reprodukcji zostanie poddana zasadniczej krytyce za niewłaściwy sposób idealizacji zjawiska reprodukcji gospodarczej i zastąpiona przez teorię alternatywną, która co prawda nawiąże do ujęcia zaproponowanego przez tego autora, ale dopiero w jakimś dalszym modelu, jej zaś model wyjściowy oparty będzie na zupełnie nowym pomysle wyidealizowania procesu reprodukcji. Tego w każdym razie można byłoby oczekiwać, gdyby w grę wchodziła empiria oraz rozumowanie, i nic więcej.

I rzeczywiście. Polska ekonomistka Róża Luksemburg poddała już w początkach stulecia zdecydowanej krytyce teorię Marksa, właśnie za niewłaściwy, jej zdaniem, sposób idealizacji mechanizmów reprodukcji gospodarczej. Przy założeniach Marksa, utrzymuje ona, reprodukcja rozszerzona jest niemożliwa. Oto jej rozumowanie. Załóżmy, iż na rynku kapitalistycznym pojawia się masa towarowa wartości  $C + V + M$ . To, czy właściciel zdecyduje się wydatkować część uzyskanego produktu dodatkowego (fundusz akumulacji  $M^a$ ) na inwestycje, zależy od jego oczekiwań co do tego, czy wytworzona w efekcie inwestycji masa towarowa znajdzie zbyt na rynku. Jeśli tak, będzie inwestować ( $M^a > 0$ ), jeśli nie, przeznaczy nadwyżkę na inne cele, np. konsumpcyjne, a może nawet zmniejszy produkcję. Miast reprodukcji rozszerzonej mieć może miejsce reprodukcja prosta, albo nawet zwięzła. Faktem jest jednak, iż ów popyt empirycznie rzecz biorąc na ogół się znajduje. *Skąd się jednak bierze stale wzrastający popyt, na którym opiera się ciągle rozszerzanie produkcji w schemacie Marksa?* – jest to zasadnicze pytanie Róży Luksemburg (1963, s. 177). Teoria tego autora nie daje, jej zdaniem, na to pytanie odpowiedzi. Analizując szczegółowo wywód teoretyczny *Kapitału* pokazuje, iż przy założeniach Marksa (o dwuklasowości rozpatrywanego społeczeństwa i jego całkowitej izolacji) nie sposób znaleźć źródła efektywnego popytu na inwestycje. A generalnie Marks w ogóle nie rozumiał problemu myląc go z zagadnieniem „źródeł pieniędzy”. Oto konkluzja jej krytyki: *[M]arksowski schemat reprodukcji nie jest w stanie objaśnić nam procesu akumulacji tak, jak on w rzeczywistości przebiega i historycznie toruje sobie drogę. Cóż jest tego przyczyną? Nic innego, tylko same założenia schematu* (tamże, s. 440). Reprodukacja rozszerzona, wbrew Marksowi, jest więc przy jego założeniach niemożliwa.

Polska socjalistka buduje następnie nowy, zasadniczo odmienny model gospodarki kapitalistycznej – otwartej, obejmującej poza dwiema Marksowskimi klasami także residua prekapitalistycznych form gospodarowania, itd. – i pokazuje, iż model ten daje odpowiedź na pytanie o to, skąd bierze się popyt umożliwiający akumulację, a więc o to, jak jest możliwa reprodukcja rozszerzona. Ponadto zaś, model ten tłumaczy też to, choć często inaczej, co wyjaśniał model

Marksowski. Prawda to czy nie, jest to piękny przykład roboty teoretycznej, w wyniku której jeden paradygmat zastąpiłby inny (przecierając, nawiasem, drogę do przyszłych odkryć Kaleckiego-Keynesa). Zastąpiłby – gdyby te rozumowania o świecie ludzkim toczyły się w bezpiecznej od tego świata odległości...

Wkrótce wszakże nadszedł rok 1917, a potem marksizm stał się państwową ideologią systemu trój-władzy i wszelka krytyka Marksa, nawet jego abstrakcyjnej teorii, stała się wykluczona. Krytykować Marksa mógł tylko wróg albo renegat, a więc jeszcze gorszy wróg. „Luksemburgizm” wkrótce został ostatecznie potępiony a jednym z tego skutków była blokada Marksowskiej teorii ekonomicznej. Miast normalnemu rozwojowi poznawczemu zakładającemu krytykę uległa ona kanonizacji – nie sposób było nawet doskonalić tej teorii, jeśli zakładało to wskazanie nieadekwatności pierwowzoru. Dopiero rozluźnienie polityczne po 1956 umożliwiło pewną pracę nad teorią Marksa, ale wyłącznie w trybie korespondencji. Krytyka zasadnicza, w duchu Róży Luksemburg była wykluczona do końca realsocjalizmu.

Podsumowując: naturalny wzór rozwoju poznawczego: teoria / warianty korespondujące / nowa teoria / warianty korespondujące /... został więc pod ciśnieniem ideologii zniekształcony ze stratą dla pierwotnego odkrycia Marksa – i całej jego szkoły ekonomicznej – które nie mogło być normalnie uczestniczyć w rozwoju teorii ekonomicznej. I tak jest zawsze, kiedy teoria społeczna stanie się podstawą jakiejś ideologii społecznej.

**ZABLOKOWANA TOLERANCJA.** Kiedy ideologia miesza się do nauki, zablokowaniu ulegają nie tylko dosyć w końcu wyrafinowane mechanizmy postępu naukowego w rodzaju reguły korespondencji i dialektycznej refutacji, ale i zasady zupełnie elementarne. W deklaracjach każdy zgodzi się łatwo na to, iż wobec nieuchronnej niepewności naszej wiedzy nie sposób z góry wykluczyć jakiegokolwiek orientacji teoretycznej z grona pretendentów do prawdy, że tedy winniśmy wszystkim (poważnym, a więc spełniającym zwyczajowo przyjęte – i te same dla wszystkich – rygory metodologiczne) alternatywom przyznać prawo do uczestnictwa na naukowym rynku (por. wyżej DEZYDERAT TOLERANCJI), i tak dalej. Ale co w takim razie z ekonomią marksistowską dzisiaj? Widzieliśmy już na tym kawałku teorii wzrostu gospodarczego (której to dziedziny Marks był, skądinąd, pionierem), że to zupełnie normalna teoria naukowa. Ma tedy takie same prawa do nieskrępowanego rozwoju, jak wszystkie pozostałe orientacje (DEZYDERAT TOLERANCJI); w szczególności ma prawo oczekiwać od innych orientacji (np. od orientacji liberalnej) instrumentalnej kooperacji (DEZYDERAT WSPÓŁMYŚLENIA); a zważywszy na to, iż tak wielu niedawnych wyznawców od niej odchodzi, ma zgoła prawo oczekiwać od społeczności naukowej szczególnego wsparcia (DEZYDERAT WSPOMAGANIA NAJSŁABSZEJ ALTERNATYWY).

Czy mylę się, że te wywody mogą napotkać pewne zniecierpliwienie? Jakże to – tolerować, i zgoła wspomagać właśnie ideologię systemu, który zgniótł wszelkie alternatywy teoretyczne, i to za pomocą tajnej policji państwowej? Cóż, niechęć do marksizmu jest zupełnie łatwa do wyjaśnienia, a krytyka systemu, któremu służył całkowicie usprawiedliwiona. Wszystko to są jednak materie ideowe, nie naukowe. A najbardziej uzasadnione ludzkie pretensje rozbijają się o pozaludzkie, obojętne dla nas, i wynoszące się ponad nasze żale byty idealne w rodzaju abstrakcyjnych gospodarek Marksa. Te są, jakie są: albo są należycie skonstruowane albo właśnie wadliwie. Albo prawda jest po stronie tego autora, albo po stronie Róży Luksemburg, albo po jakiejś jeszcze innej. Ale to, gdzie ona jest w najmniejszym stopniu nie zależy od tego, kto i w jak niecnym celach wykorzystywał tę teorię, ani też od tego, kto na tym ucierpiał i w jakiej mierze. Z czysto poznawczego punktu widzenia marksizm ma takie same prawa poznawcze, jak każda inna teoria. Kropka. Rzecz polega na tym jedynie, że tak trudno nam w humanistyce ten czysto naukowy punkt widzenia zająć, a więc niedeklaratywnie respektować DEZYDERAT EGALITARYZMU. A

potem labidzimy, że jesteśmy poznawczo zapóźnieni... Właśnie dlatego. Właśnie dlatego, że nie potrafimy wznieść się ponad naszą własną, ludzką skórę.

**ZABLOKOWANA PROBLEMATYKA.** Jeszcze bardziej oczywistą niż zasada tolerancji jest zasada wolności badań, w szczególności zaś prawo uczonego do nieskrępowanego podejmowania problemów poznawczych. Z emfazą powtarzamy, iż nikt nie ma prawa narzucać społeczności naukowej problematyki badawczej, a już żadną miarą uniemożliwiać jej zajmowanie się takimi czy innymi pytaniami. I kiedy społeczność naukowa jest od reszty społeczeństwa izolowana – jak w naukach przyrodniczych –, wolność badań jest z grubsza rzeczywiście respektowana. Nauki o polityce, o gospodarce, religioznawstwo, socjologia, itd. wszakże izolowane nie są. Toteż stanem normalnym tych nauk są białe plamy na ich problematyce. Znowu realsoc dostarcza tu przykładów rozlicznych i drastycznych. Ograniczanie się do tych przykładów byłoby jednak – dzisiaj, w warunkach III Rzeczypospolitej – pójściem na łatwiznę. Sięgnijmy raczej po aktualia.

Wkrótce po przełomie politycznym w Polsce konsulem w USA mianowany został pewien doskonały skądinąd dziennikarz dawnej prasy opozycyjnej. Sprawa nominacji stała się jednak głośna, bo przytrafiło mu się kiedyś napisać gdzieś pozytywnie o filmie Scorsese *Kuszenie Chrystusa*. Ktoś to przypomniał i dwa tysiące prawdziwych Polonusów podpisało list protestacyjny ogłoszony w prasie polonijnej. Na konferencji prasowej w Warszawie padło pytanie, co na to rząd polski. Rzecznik pierwszego rządu niepodległej RP udzieliła takiej oto odpowiedzi (cytuję z pamięci): *Rząd jest przede wszystkim bardzo zdziwiony. Trzeba bowiem wiedzieć, że konsula S. rekomendował na to stanowisko jego biskup...* Są fakty społeczne (zwane w żargonie „perełkami”), w których przejawiają się pewne tendencje ogólne a podstawowe. Nie jest wykluczone, iż przemknął wówczas przed nami jeden z nich. Zważmy bowiem. Minister demokratycznie powołanego rządu nie mówi, iż konsul S. mianowany został zgodnie z obowiązującą procedurą, a dopóki prawo jest przestrzegane, dopóty w państwie prawa nikomu do tego nic; odsyła natomiast do zewnętrznego autorytetu – wspiera się Kościołem. Tłumaczy się dalej, że ta właśnie instytucja nic przeciwko konsulowi S. nie ma, a wolno domniemywać, że zgoła go popiera, bo „rekomenduje”, jak, nie przymierzając, pewna wcześniejsza monopartia. A najbardziej zastanawiająca jest ten terytorializm: p. S. mieszka w K. i o biskupie z tego miasta była tam mowa. Czy to przypadek, czy można było stąd wnosić, że w III RP rekomendowanie na stanowiska państwowe było (a może i jest nadal?) rozdzielone terytorialnie, jak w PRL, tyle że inna instytucja weszła w rolę „kierowniczej siły”?

Nie wiem, pytam tylko. A ponieważ nie bardzo potrafiłem znaleźć odpowiedź, pytałem socjologów. M.in. spytałem jednego z naszych czołowych znawców problematyki socjopolitycznej, czy może ktoś poszedł tropem „perełki” i przeprowadził jakieś *case study*? Odpowiedział śmiechem. A na ogólne pytanie o badania empiryczne nad wpływem hierarchii kościelnej na obsadę stanowisk państwowych w III RP odpowiedział, że nie słyszał. Rozmowa ta toczyła się jesienią 1995, a do tego czasu prasa liberalna, a zwłaszcza lewicowa, pomnożyła niepomniernie liczbę faktów wskazujących na polityczne aspiracje hierarchii Kościoła katolickiego. Postawione zostały też pewne teoretyczne hipotezy wskazujące, iż jedną z możliwych dróg rozwojowych stojących przed naszym krajem jest katolicki totalitaryzm. Nie twierdzą, że są prawdziwe, to przecież hipotezy tylko. A nie wiadomo, czy są prawdą czy fałszem, bo badania empiryczne, zdaje się, nie dają podstaw do tego, by rozstrzygać je w którąkolwiek stronę. I tak z wieloma innymi sprawami tego rodzaju. Problematyka związana z miejscem Kościoła w naszym społeczeństwie rzeczywiście najeżona jest białymi plamami.

**O DOSTOJEŃSTWIE HUMANISTYKI.** Cóż, łatwo potępiać socjo- czy politologów, trudniej zrozumieć dramatyzm ich sytuacji. Przecież samo postawienie problemu, na który odpowiedzią miałyby być program badań empirycznych nad politycznym zaangażowaniem polskiego Kościoła wywołałoby falę politycznego i prasowego oburzenia – od prawicy ku centrum (a na lewicy wywołałoby to zapewne niechętnie zażenowanie jako nieroztropne „wywoływanie wilka z lasu”). Do ideologii tej instytucji należy wszak teza, iż Kościół w Polsce zawsze był, i jest, strażnikiem wolności. Pod tezę tą z całą mocą podpisał się ostatnio we wrocławskim wystąpieniu sam Papież. Kto w tej sytuacji stawia pytanie: „czy Kościół w sposób systematyczny rekomendował w latach 1989-... kandydatów na stanowiska państwowe?” ten dopuszcza tę możliwość jako jedną z alternatywnych odpowiedzi. A zatem przez sam już przez się fakt zapytania, samym po prostu założeniem problemu badawczego, kwestionuje tezę Papieża-Polaka... Kto w tym momencie czuje to samo, co podpisany – a więc ciarki na grzbiecie, ten już uchwycił, gdzie tkwi przyczyna poznawczego zapóźnienia nauk społecznych.

Poprzez dzieje zmieniały się ustroje, socjalni potentaci, ich ideologie, zmieniała się też pozycja społeczna ludzi reflektujących nad światem ludzkim. Jedno wszakże było i jest po dziś dzień wszystkim tym ludziom – humanistom – wspólne: strach przed zapytaniem o sprawy naprawdę istotne. Humanista działając na terytorium, do którego zgłaszają pretensje polityka, ideologia, religia wystawiony jest na groźby – a i pokusy, – których skali szczęśliwcy uprawiający inne działy nauki nie potrafią sobie nawet przedstawić. W metodologicznej naturze jego pracy nie ma – jeśli pominąć poboczne osobliwości, których w żadnej z nauk nie brakuje – niczego, co nie powtarzałoby się w naukach o przyrodzie. Zasadniczo inna jest natomiast jego sytuacja społeczna. Jest on nieustannym adresatem żądań, pretensji i postulatów – a także propozycji mniej lub bardziej subtelnej korupcji – płynących od wielkich potęg tego świata: władzy politycznej i politycznych koterii, kościelnych hierarchii, środków masowego przekazu. Wszystkie te siły – największe moce ludzkiego świata – domagają się od humanisty potwierdzenia swoich sądów, wyniesienia swego ponad rywali, najlepiej jeszcze ich pogębienia, pomocy w uzyskaniu rządu dusz i sprawowaniu rządu ciał, słowem, podżyrowania własnych interesów stemplem prawdy. Jak gdyby mało miały własnych organizacji, zdyscyplinowanych funkcjonariuszy, świetnie opłaconych prawników, oddanych dziennikarzy. Jeszcze im w ich zachłanności nauki trzeba! Nic dziwnego, że humanistyka unurzana bywa w ludzkich interesach tak głęboko, że traci nieraz z pola widzenia właściwy kierunek. Nic więc dziwnego, że postęp bywa tu wolniejszy a trajektoria rozwojowa bardziej powikłana. Dziwi natomiast, że w takich warunkach tyle potrafiła nam o ludzkim świecie powiedzieć. Szanujmy ją za to.

### Literatura wykorzystana

1. K. AJDUKIEWICZ, *Logiczne podstawy nauczania*, Warszawa 1934.
2. K. AJDUKIEWICZ, *Język i poznanie*, t. I, PWN, Warszawa 1960.
3. W. BALZER, B. HAMMINGA (Eds.), *Philosophy of Economics*, Kluwer, Dordrecht/Boston/London 1989.
4. J. BRZEZIŃSKI, FR. CONIGLIONE, T.A.F. KUIPERS & L. NOWAK (Eds.), *Idealization-I,II* (Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities, vols.16-17), Rodopi, Amsterdam/Atlanta 1989.
5. J. BRZEZIŃSKI & L. NOWAK (Eds.), *Idealization-III: Approximation and Truth* (Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities, vol.25), Rodopi, Amsterdam/Atlanta 1992.

6. J. BRZEZIŃSKI, B. KRAUSE & T. MARUSZEWSKI (Eds.), *Idealization-VIII: Modeling in Psychology* (Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities, vol. 56), Rodopi, Amsterdam/Atlanta 1997.
7. R. EGIERT, A. KŁAWITER & P. PRZYBYSZ (red.), *Oblicza idealizacji* (Poznańskie Studia z Filozofii Humanistyki, t. 15), Wyd. UAM, Poznań 1996.
8. A. FALKIEWICZ, *Jeden a liczba mnoga*, Wyd. Aspekt, Wrocław 1989.
9. P. K. FEYERABEND, *Jak być dobrym empirystą* (tłum. K. Zamiara), PWN, Warszawa 1979.
10. G. GALILEI, *Dialog o dwóch najważniejszych systemach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym*, PWN, Warszawa 1962.
11. G. GALILEI, *Rozmowy i dowodzenia matematyczne*, Warszawa 1930.
12. A. GARCIA DE LA SIENRA, *The Logical Foundations of the Marxian Theory of Value*, Kluwer, Dordrecht/Boston/London 1993.
13. B. HAMMINGA & N. DE MARCHI (Eds.) *Idealization-VI: Idealization in Economics* (Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities, vol. 38), Rodopi, Amsterdam/Atlanta 1994.
14. A. KŁAWITER (Ed.), *Understanding Idealization*. W: *Theoria*, vol. 20, 1994.
15. J. KMITA, *Essays in the Theory of Scientific Cognition*, Kluwer, Dordrecht/Boston/London 1988.
16. J. KMITA, L. NOWAK, *Studia nad teoretycznymi podstawami humanistyki*, Wyd. UAM, Poznań 1968.
17. TH. KUHN, *Struktura rewolucji naukowych* (tłum. S. Amsterdamski), PWN, Warszawa 1968.
18. T. A. F. KUIPERS & A. MACKOR (Eds.), *Cognitive Patterns in Science and Common-Sense*. Groningen Studies in Philosophy of Science, Logic, and Epistemology (Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities, vol. 45), Rodopi, Amsterdam/Atlanta 1995.
19. R. LUKSEMBURG, *Akumulacja kapitału*, KiW, Warszawa 1963.
20. K. MARKS, *Kapitał*, t. II, KiW, Warszawa 1955.
21. L. NOWAK, *The Structure of Idealization. Towards a Systematic Interpretation of the Marxian Idea of Science*, Kluwer, Dordrecht/Boston/London 1980.
22. L. NOWAK, *U podstaw teorii socjalizmu*, t. 1-3, Nakom, Poznań.
23. L. NOWAK, *Byt i myśl. U podstaw negatywistycznej metafizyki unitarnej*, t. 1, T. Zysk, Poznań 1997.
24. K. R. POPPER, *Logika odkrycia naukowego* (tłum. U. Niklas), PWN, Warszawa 1977.
25. N. SHANKS (Ed.), *Idealization-IX: Idealization in Contemporary Physics* (Poznań Studies in the Philosophy of the Sciences and the Humanities, vol. 63), Rodopi, Amsterdam/Atlanta 1998.
26. J. SEARLE, *Umysł, mózg i nauka* (tłum. J. Bobryk), Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 1995.
27. K. TWARDOWSKI, *Wybrane pisma filozoficzne*, PWN, Warszawa 1969.
28. B. WOLNIEWICZ, *Rzeczy i fakty. Wstęp do pierwszej filozofii Wittgensteina*, PWN, Warszawa 1968.
29. Z. ZIEMBIŃSKI, *Logiczne podstawy prawoznawstwa*, Wyd. Prawnicze, Warszawa 1967.
30. R. WÓJCICKI, *Topics in the Formal Methodology of Science*, Kluwer, Dordrecht/London/Boston 1979.